ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 28

14 LIPCA 1934 ROKU



LILI ZIELIŃSKA
jedna z najpiękniejszych artystek sceny i ekranu

W numerze:

Z OSTATNIEJ CHWILI

POGRZEB WIELKIEJ UCZONEJ POLSKIEJ MARJI CURIE-SKŁODOWSKIEJ



ODBYŁ SIĘ W MYŚL JEJ ŻYCZENIA ZUPEŁNIE SKROMNIE W SCEAUX POD PARYŻEM





ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 28 14.VII.1934

ŻAŁOBA NAUKI POLSKIEJ

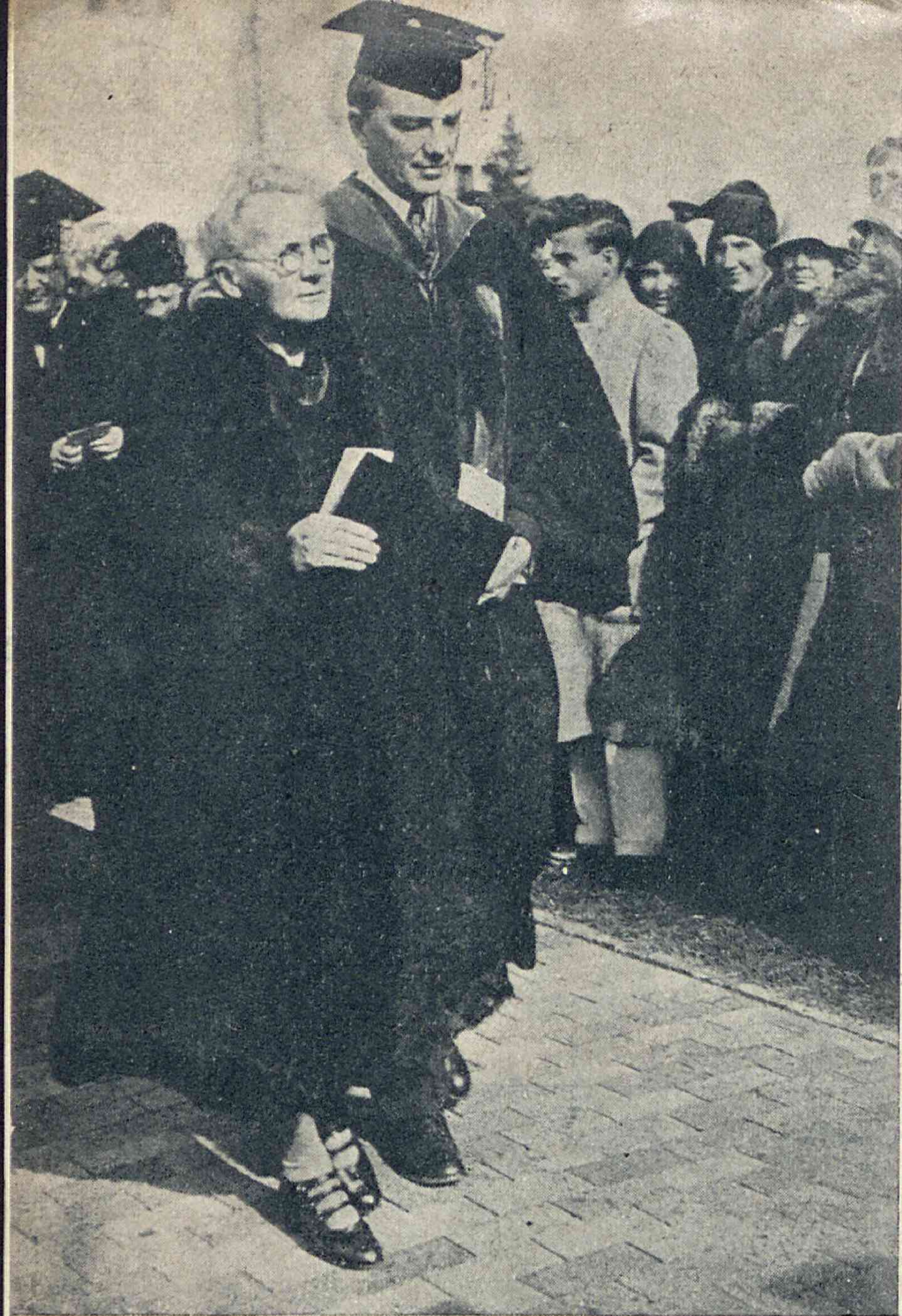


Śmierć zabrała najwybitniejszą Polkę wszystkich czasów. To trzeba sobie uprzytomnić bez żadnej egzaltacji. Drugiej kobiety tej miary nie wydała Polska nigdy. Szukając wśród Polaków uczonych tego pokroju, myśl biegnie ku Kopernikowi, który inaczej ukształtował wszechświat. Obok niego postawić można Marję Skłodowską-Curie, która w materji dojrzała siłą swego genjuszu nowe, niezbadane pierwiastki.

Marja Skłodowska - Curie była kobietą genjalną. Sceptycyzm co do Jej samodzielności naukowej, który tu i owdzie wyrażały zaścianki dopóki żył i pracował mąż Jej, Piotr Curie, — ten ciasny sceptycyzm doznał bezapelacyjnej porażki, gdy nagrodę Nobla przyznano wielkiej uczonej powtórnie — już za prace dokonane bez udziału małżonka, po jego zgonie. Była ona jedynym człowiekiem nauki, dwukrotnie odznaczanym najwyższą nagrodą, jaką świat złożyć może u stóp uczonego — nagrodą Nobla.

Schodzi do grobu symbol najwyższy potęgi duchowej Polski. Odeszła kobieta, która życie całe oddała ludzkości, nie biorąc nic wzamian. Przestał działać genjalny mózg, który dał światu poza innemi cennemi odkryciami — możność walczenia z najstraszliwszem cierpieniem ludzkości — z rakiem. Ale dzieło Jej nie zginie. Instytuty Radowe pracować będą nadal, kontynuując badania i zastosowanie praktyczne Jej odkryć. Przed Instytutem Radowym Jej imienia w Warszawie stoi to samo zadanie. Cała Polska winna teraz skupić się w hołdzie dla wielkiej uczonej. Innego wyrazu dla naszych uczuć niema: stworzyć trwałe podstawy egzystencji i działalności dla Instytutu Radowego, im. Marji Curie - Skłodowskiej w Warszawie — oto jedyna forma w jakiej naród wyrazić może wdzięczność swą cieniom wielkiej Zmarłej.

MARJA CURIE



V r. 1929 otrzymuje wielka uczona gram radu od obywateli Stanów Zjednoczonych.

Głos o zasługach Marji Skłodowskiej - Curie, pozostawiamy specjalistom. Na tem miejscu pragniemy przybliżyć tę wielką postać szerokiemu ogółowi, ukazać Ją w całej Jej prostocie, w skromności życia codziennego, we wzniosłem bohaterstwie materjalnej abnegacji. Pragniemy odsłonić Jej wielkie serce, niezłomny charakter. Osoba, która miała możność niejednokrotnie zbliżyć się do Niej skreśliła te wspomnienia, w których ujrzymy poza wielką uczoną — wielkiego w swej prostocie Człowieka.

Marja Curie-Skłodowska dokonała swoim odkryciem przewrotu w pojęciach o budowie wszechświata. Takie jest zdanie nauki. Przytaczając je, mam przed oczami wątłą, nikłą postać wielkiej uczonej. Zdawałoby się, że niema słów dość wzniosłych, niema superlatywów wystarczających, aby mówić o tej kobiecie niezwykłej; znając Ją, nie znam słów dość skromnych i prostych, aby opowiedzieć o Jej życiu.

Marja Skłodowska-Curie urodziła się w Warszawie w 1867 r. Ojciec Jej był profesorem fizyki i matematyki w gimnazjach warszawskich, matka przełożoną zakładów żeńskich.

Jako dziecko 4 letnie nauczyła się czytać. Bawiła się ze swoją starszą o dwa lata siostrą literkami z tektury — były to Jej pierwsze lekcje.

Niewiadomo jak zdobyła naukę czytania. Kiedy wyrażano Jej swoje zdziwienie i obrzucano pytaniami, jak to się stało, mała dziewczynka odpowiadała nawpół z płaczem: „To wcale nie jest moja wina"...

Gimnazjum ukończyła ze złotym medalem, mając lat 15-cie.

W roku 1891 spełniło się nareszcie Jej pragnienie, jedzie do Paryża na studja w Sorbonie.

Sama o sobie mówi w owych czasach, że czuje się dobrze dopiero wtedy, gdy pracuje po 14 godzin na dobę.

W cztery lata potem zaślubia młodego uczonego francuskiego Piotra Curie.

Po ślubie warunki mieli bardzo ciężkie. Jako warsztat pracy otrzymali nieopalaną szopę w podwórzu miejskiej szkoły fizycznej.



Powaga maleńkiej Marysi

W 25-tą rocznicę odkrycia radu, w liście do Marji Curie-Skłodowskiej, pisze o tej szopie jeden z profesorów, że była to „stajnia dostępna wszelkim wichrom". W tej to stajni został odkryty rad.

Stała się rzecz straszliwa: w roku 1906 ginie tragicznie Piotr Curie, przejechany przez wóz ciężarowy.

Ta wątła, o słabem zdrowiu kobieta miała jednak w sobie siły nadludzkie. Objęła po mężu katedrę, ofiarowaną jej jednomyślnie przez Sorbonę, prowadziła nadal wszystkie prace, rozpoczęte wspólnie w laboratorjum. Wydała po opracowaniu i uzupełnieniu dzieła swego męża.

Zajmowała się bardzo gorliwie wychowaniem córek, z których młodsza miała wtedy 2 lata. Podołała wszystkiemu.

Pracowała do końca w tak zwanej „Fondation Curie" — Narodowej Fundacji Francji, składającej się z działu biologicznego i fizyczno-chemicznego, pracowni, lecznicy i t. d. Stała na jej czele. W Sorbonie wykłady o promieniotwórczości, objęte po śmierci męża, prowadziła aż do swojej śmierci. Po odkryciu polonu i radu w 1898 r. posypały się odznaczenia i zaszczyty. Wspólnie z mężem otrzymała pierwszy raz nagrodę Nobla, w dziale fizyki. Po raz dru-

Wizyta Prezydenta Doumergue w Instytucie im. małżonków Curie w Paryżu.



SKŁODOWSKA

gi przyznano Jej to odznaczenie samodzielnie. Wszystkie pieniądze, pochodzące z nagród szły na ulepszenie warunków pracy. Bezinteresowność tych dwojga ludzi była nieprzeciętna. Nie korzystali nigdy materjalnie ze swojego odkrycia. Rad uważali za własność ludzkości. Nietylko materjalnie nie chcieli go wyzyskiwać. Pod względem naukowym okazywali też niebywałą bezinteresowność. Dzielili się każdym szczegółem swej pracy z całym światem nauki.

W 1921 roku została zaproszona do Ameryki. Było tam grono kobiet, na czele którego stała dziennikarka amerykańska pani Meloney. Ofiarowały one Marji Skłodowskiej-Curie gram radu, wartości ówczesnej 75.000 dol. Rad ten oddała natychmiast Marja Curie swojemu Instytutowi. Następny gram radu uzyskany w r. 1929 ofiarowała uczona powstałemu na jej życzenie Instytutowi Radowemu w Warszawie. Zebrała fundusz na ten gram również p. Meloney, rozpisując listy do kilku miljonerów z Rockefellerem i Fordem na czele. Dali oni po 5.000 dol., brakującą zaś resztę 10.000 dol. ofiarowała fabryka radu w Belgji jako specjalny dar dla p. Curie.

* * *

Pamiętam jeden obiad u Marji Curie. Była Ona, jej siostra dr. Dłuska, dwie córki i zięć. Obydwie panie starsze o surowym skromnym wyglądzie, córka Irena w ciemnej, prostej sukience, zięć w garniturze „naukowca" na którym widziałam ślady „menu" laboratoryjnego. Otoczenie i mieszkanie poważne, trochę staroświeckie. Wśród tego wykwitała jak kwiat egzotyczny córka Ewa — bardzo ładna, bardzo moderne, sylwetka z ostatniego żurnalu, bardzo paryska. Mówi po polsku doskonale z leciutkim akcentem cudzoziemskim.

Atmosfera tego domu była cicha, poważna, przedziwnie miła swoją niezwykłą prostotą.

Marja Skłodowska-Curie uznawała za podstawę w życiu pierwiastki idealne i obowiązki obywatelsko-społeczne. Miała w sobie ogrom spokoju i równowagi. Pisząc o swojem życiu z mężem wspomina: „Jeżeli nam brakło środków i wygód, natomiast mało co mogło zakłócić nam spokój". Po śmierci zaś ukochanego człowieka pamiętała najbardziej jego słowa, które spełniła jak rozkaz testamentu: „Cokolwiekby się stać miało, choćby przyszło pozostać jak ciało bez duszy, trzeba mimo wszystko — pracować dalej!"

Stosunek Marji Curie do spraw feministycznych nie był czynny, ale bardzo wyraźny. Gdy w roku 1932 odrzucone zostało przez Senat w Paryżu prawo głosowania kobiet, gdy jeden z senatorów powołał się na Marję Curie, że jest to z Jej poglądami zgodne, wielka uczona wystosowała list do Prezesa Senatu, pisząc, że z zasady nie zabiera głosu w dyskusjach publicznych, poza naukowemi, jednak prosi, aby w tym wypadku było Senatowi podane Jej zdanie, że „prawo głosowania dla kobiet jest zasadniczo słuszne i że będzie musiało być uznane."



Marja Skłodowska-Curie (rzeźba Nitschowej w Instytucie Radowym w Warszawie)

* * *

Jaka była w życiu codziennem? Co lubiła?

Ulubioną Jej rozrywką i wypoczynkiem były długie spacery na wsi, w dni wolne od pracy. Poza tem uprawiała sporty: wiosłowanie, łyżwy i pływanie. Prowadziła auto. Dostała swego czasu od Forda luksusowy samochód — nie przyjęła go, lecz wybrała sobie najskromniejszy. Dopiero od niedawna zmuszono Ją ze względu na osłabiony wzrok, aby przyjęła szofera.

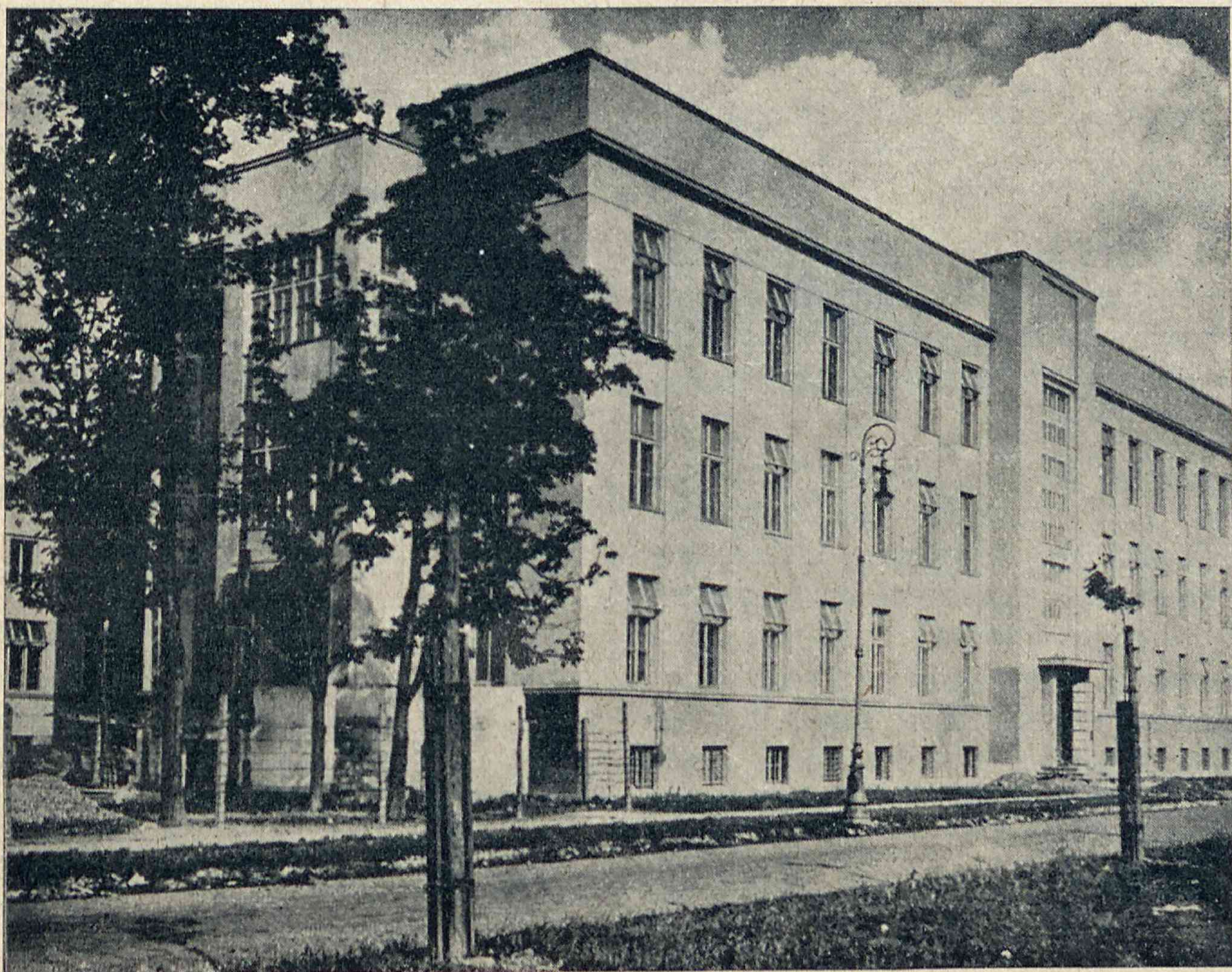
Jej jedyną bodaj namiętnością były kwiaty. Posiadała mały domek na Riwierze, na odludnej plaży w Cavalaire i tam osobiście pielęgnowała kwiaty.

Miała jedno pragnienie Marja Curie-Skłodowska: poświęcić część swego bezcennego czasu, aby pracować w Polsce. Było to niemożliwe: niema katedry radjologji w Polsce. Jest w Warszawie Instytut Jej imienia, stworzony jako dar dla Niej przez całą Polskę. Nie jest on jednak całkowicie wykończony — nie ma jeszcze pracowni fizycznej — czyli nie było w nim warsztatu pracy dla Marji Curie. Na prośbę Jej, przygotowano dla Niej małe mieszkanko w Instytucie.

Niestety — nie było Jej danem w niem na stałe zamieszkać.

Romana Dalborowa.

Instytut Radowy im. Marji Skłodowskiej-Curie w Warszawie.



LEOPOLD BINENTAL

FRANCUSKA MUZYKA REWOLUCYJNA I MARSYLJANKA



Franciszek-Józef Gossec (1734—1829) Akwaf. E. Quenedey'a.

Wiekopomne wydarzenia francuskie końca w. 18-go wywarły olbrzymi wpływ na współczesnych artystów. Płomień ognia wolności, patrjotyzmu, uniesień serca, odwagi myśli trybunów ludu dotarł do ich uczuć i świadomości, podniecając ich wolę w kierunku natychmiastowego współdziałania z budowniczymi nowego porządku rzeczy.

Na zew Rewolucji stają w ordynku poeci, plastycy, muzycy. Hasła, wypisane na nowym, trójbarwnym sztandarze Francji, wprowadzają twórców i odtwórców sztuki dźwiękowej do kręgu najczynniejszych działań.

Przy rewolucyjnym rydwanie stają „starzy" i „młodzi": Gossec, Mehul, Dalayrac, Berton, Devienne etc. Komponują oni, względnie przyczyniają się do uświetnienia słynnych w historji obchodów rocznicowych lub okolicznościowych.

Muzycy pracują nieustannie: „zapotrzebowanie" artystyczne wodzów Wielkiej Rewolucji jest olbrzymie. Przywódcy zdają sobie doskonale sprawę z potęgi wpływu na masy. Przed rozgorączkowanym tłumem stają tysiączne rzesze wykonawców. Każda ceremonja oficjalna — o charakterze świątecznym, zwycięskim, bohaterskim, religijnym, żałobnym i t. p. — ma swych entuzjastycznych piewców. Muzyczni gloryfikatorzy rzucają w lud republikańskie dytyramby-hymny na cześć Panteonu, Tolerancji, Ludzkości, Rozumu, Wolności...



Stefan-Mikołaj Mehul (1763—1817) Mal. J. Ducreux (Muz. w Wersalu).



Franciszek Devienne (1759—1803) Mal. L. David. (Muz. w Brukseli).

Potomności pozostały zaledwie okruchy z tej całej muzycznej elokwencji rewolucyjnej — czas i tutaj dokonał nieuchronnej puryfikacji.

Jedna pieśń przedostała się przez filtr dziejów na karty nieprzerwanego trwania. Ostała się całkowicie, zachowując pełnię swej krasy, chociaż nie powstała z uczucia sławienia „wypadków" rewolucyjnych. Jest nią *Marsyljanka,* poetycko - muzyczna oda do Patrjotyzmu, do Brawury, do Bohaterstwa.

Na gęsto zapisanem tle francuskiej muzyki epoki Zgromadzenia i Konwencji Narodowej *Marsyljanka* jest objawieniem czystości inspiracyjnej, prostoty i szczerości ducha, niezniszczalnej mocy narodowego genjuszu Francji.

Jest w *Marsyljance* energja młodzieńcza, dziarskość bojowa, wiara w zwycięstwo, bunt żołnierza. Kusi ona do czynu swym zdecydowanym rytmem, dynamiką ruchu, żywością, prężnością, męskością języka. Szczytowe momenty marszowej melodji *Marsyljanki* grzmią ochoczo, entuzjastycznie, nęcą wezwaniem junackiem, żywiołową pobudką radości życia.

Dzięki temu wszystkiemu „Chant de guerre de l'armée du Rhin" („Bojowa pieśń armji Renu" — taka, bowiem, była początkowa nazwa Marsyljanki) stał się wkrótce po swem powstaniu Narodowym Hymnem Francuzów.

Kolebką *Marsyljanki* jest Strasburg. Wyśpiewał ją tam Klaudjusz-Józef Rouget de Lisle, inżynier-kapitan, oficer armji, walczącej przeciwko Austrji i Niemcom, poeta i muzyk w jednej osobie. Wyśpiewał ją jednym tchem, w pierwszych godzinach po wypowiedzeniu wojny — w końcu kwietnia r. 1792-go.

Dźwięki *Marsyljanki* rozległy się po raz pierwszy w dniu 26-ym kwietnia (tego roku) w domu Fryderyka Dietricha, mera strasburskiego, wielkiego patrjoty. Wykonanie to owiane jest legendą. Podobno sam Rouget de Lisle wy-

śpiewał zdumionym i oczarowanym słuchaczom swe nieśmiertelne

Allons enfants de la Patrie...

Aux armes, Citoyens!...

„Bojowa pieśń armji Renu" przedostaje się szybko w głąb Francji. Śpiewając ją, wkraczają marsylczycy do Paryża w końcu lipca 1792 r. Pieśń Rouget de Lisle'a odtąd przezwana jest powszechnie „Marsyljanką". Chwała jej rośnie błyskawicznie, wreszcie w r. 1795 — w szóstą rocznicę zburzenia Bastylji „Hymn Marsylczyków" podniesiony zostaje do godności oficjalnego Hymnu Narodowego. Dnia 14 lipca 1795-ego roku uchwalono: wpisać do księgi protokułów Konwencji „sławny po wieczne czasy Hymn Marsylczyków" oraz wydać rozkaz grania go przez gwardję narodową. Równocześnie postanowiono wpisać nazwisko autora *Marsyljanki* w sposób uroczysty do tegoż protokułu.

Była to cudowna chwila w życiu twórcy Hymnu. Przypływy i odpływy zmiennych orjentacji rewolucyjnych unosiły bohatera - artystę ze sobą. W późniejszych latach zdarzało się nawet, że niezawsze pamiętano o istnieniu barda nowej Francji. Rok 1830-ty był dlań specjalnie szczęśliwy — na twórcę i jego dzieło padły nowe blaski chwały.

Rouget de Lisle zmarł w r. 1836-ym. Zasypywano jego mogiłę przy dźwiękach *Marsyljanki.*

* * *

Narodowy Hymn Francuzów jest nietylko pieśnią o ich potędze, dumie i bohaterstwie, lecz i pieśnią wszelkich śmiałych poczynań czasów naszych. Wszędzie, gdzie słyszano zbiorowy, namiętny okrzyk, domagający się wolności i swobód, braterstwa i równości obywatelskich, rozlegała się *Marsyljanka,* jako pieśń o lepszem, sprawiedliwszem jutrze — dla wielu pokoleń ludzkich była to pieśń o wyzwoleniu.

„TYGODNIK POLSKI" Z R. 1820-go, TOM I

(„Marsyljanka" tutaj podana zamieszczona jest przy artykule: „O Francuzkich Pieśniach Ludu").

TYDZIEŃ ŚWIATA

14 lipca

Dzień 14 lipca jest świętem narodowem Francji:

Święta narodowe naszych bratnich czy sojuszniczych narodów są zawsze poniekąd i naszemi, w rozumieniu kojarzenia się myślowego nie w formie banalnej, lecz w szczerym, serdecznym sentymencie. Francję i Polskę tyle wspomnień i uczuć gorących łączy, że sentyment ten i szczerość nigdy nie wymagają podniet sztucznych i wyrozumowanych.

I w tym roku w Magistracie Warszawy odbędzie się uroczysta Akademja pod przewodnictwem ambasadora Laroche'a. Wezmą w niej udział jako organizatorzy wszystkie stowarzyszenia pracujące w kierunku kulturalnego i gospodarczego zbliżenia Francji i Polski

Rozmowy w Londynie

Podróż ministra Barthou do Londynu wywołała moc komentarzy. Nieodzowne w takich razach „alarmujące pogłoski" ukazały się tym razem na łamach nieprzyjaznej Francji prasy socjalistycznej angielskiej.

W rzekomych rewelacjach na temat zamierzonego aljansu między Francją a Anglją po za Ligą Narodów przodował „Daily Herald".

Zaprzeczenie tym pogłoskom dali zarówno Barthou jak i Baldwin. Trzeba stwierdzić, że rzadko się zdarza aby prasowo, informacyjnie podróż ministra była tak przygotowana jak londyński wyjazd Barthou. Przedewszystkiem więc na komisji parlamentarnej do spraw zagranicznych Barthou wyraźnie oświadczył, że podróż ta nie ma żadnych celów konkretnych, choć mówiło się, pisało i deklarowało, że w tej przyjaznej rozmowie ministrów angielskich i francuskich omówione zostaną *wszystkie* sprawy aktualnej polityki. Otwarcie zaznaczano, że pakty regjonalne będą tematem szeroko omawianym, z podkreśleniem jednak, że tylko w charakterze „wyjaśniającym". Informacje te poszły tak daleko, że przed wyjazdem Barthou z Paryża oznajmiono, iż nawet zwykłego komunikatu prasowego — po rozmowach londyńskich — nie będzie. Wyjaśniono więc, przewidziano, uprzedzono niemal wszystko. Zobaczymy czy rzeczywistość programu tego nie... uzupełni. Na razie do zanotowania mamy znamienny głos „Times'a", który taką uwagę poświęca wizycie Barthou: „Francja i Anglja mogą się różnić w sprawach „równości praw" lub nietykalności traktatów. Mają one jednak wspólne zadanie do wykonania: obronę swych instytucji liberalnych oraz wielki wspólny ideał — utrzymanie sprawiedliwości i pokoju. Są one strażniczkami tych samych wartości intelektualnych".

To ujęcie sprawy jest bardzo jasne, podkreśla ono ze strony angielskiej, prawdę znaną i aż banalną w swej rzeczywistej prawdziwości: zrozumienie się (jeśli już nie porozumienie) Francji i Anglji — to gwarancja pokoju.

Dlatego to rozmowy londyńskie tak specjalnie obserwowane są z Berlina.

ŚWIĘTO MORZA W GDYNI



Poświęcenie kamienia węgielnego pod Bazylikę w Gdyni. P. Prezydent kładzie pierwszą cegłę Photo-Plat



Defilada w Gdyni w dniu Święta Morza Photo-Plat

Nemezys zabójców

(ch) Jeżeli oceniając „gest" Hitlera cały świat potępia brutalność i dzikość rozprawy, jeśli egzekucje bez sądu ściągnęły w prasie całego świata gromy potępienia na metody „koleżeńskiej" sprawiedliwości niemieckiej, to jednak nie trzeba zapominać, iż zastrzeleni przywódcy nie byli barankami...

Zabity szef nazisów śląskich, tyran Wrocławia Heines miał na swem sumieniu wielu przywódców demokratycznych, między nimi Erzbergera.

Killinger — nie był o wiele lepszy, to on był inicjatorem... sugerującym śmierć Rathenau'a.

Generał Schleicher był przewodniczącym trybunału, przed który przywleczono Liebknechta i Różę Luksemburg. Sąd był błyskawiczny. Aresztowanych skazano na posiedzeniu w hallu hotelu Eden. Uderzeniami kolb ogłuszono skazanych, zawieziono autem do Tiergartenu, zastrzelono z rewolwerów — ciała wrzucono do kanału.

Dziwna Nemezys dziejowa — kończy tych trzech właśnie ludzi śmiercią gwałtowną, kończy ich rękami dawnych towarzyszy. Padli nie z rąk wrogich im kierunków; nie mściciele Rathenau'a, Erzbergera, Liebknechta przystawili im rewolwery do skroni, ale wyznawcy Hitlera. Czy rok temu, pół roku temu uwierzyliby oni sami w coś podobnego!

Nie zapominajmy jednak, że od chwili podpisania pokoju życie wewnętrzne Niemiec toczy się wśród morderstw politycznych i gwałtów. Nazwiska Erzbergera ongiś, Klaussnera działacza katolickiego dziś — oto dowody, że morduje się nietylko rewolucjonistów jak Liebknecht, degeneratów, okrutników i „zdrajców" jak Roehm, Heines, Ernst — ale i umiarkowanych i prawicowych!

Morderstwo — nie jest dziś w Niemczech ohydą — a życie ludzkie nie ma żadnej ceny.

„Klijentele", haracze, pogróżki

(—) Na tle dokonanej purifikacji partji mówi się dziś głośno o tem o czem szeptano ze strachem w Niemczech jeszcze parę tygodni temu. Mówi się więc o luksusowych autach i rozrzutnem życiu... nieżyjących. Mówi się, że Ernsta do małżeństwa niedawno zmusił Hitler, gdyż sceny zazdrości wśród przyjaciół doprowadziły parę miesięcy temu do szeregu tajemniczych morderstw.

Mówi się o protegowanych i „klijenteli", dla której, nadużywając władzy, zdobywali pieniądze, posady i środki zarobków Roehm, Ernst i inni. Mówi się, iż od pewnego czasu bezwstydnie nakładali oni haracz na przemysłowców. Doprowadzeni do ostateczności magnaci i możni z fabryk i banków zaprotestowali dwukrotnie. Pierwszy protest to była dymisja prezesa Reichsbanku dr. Schachta. Wślad za nim miał pójść Papen. Rezultatem tych dymisji miało być wzmożenie się kryzysu finansowego — który by Hitlera przycisnął do muru. Goering pogróżkami zmusił Schachta do pozostania na stanowisku. Papen nie zdecydował się na dymisję, wygłosił tylko znaną mowę.

Przyspieszyła ona katastrofę — Papen przeżył... kłopotliwe chwile. Dziś może być w każdym razie zadowolony, żyje, korzysta z urlopu — dymisja ma być odłożona.

Morderstwo atutem wyborczym

(ł) „Poległy" wódz nazisów śląskich Heines był człowiekiem niesłychanie brutalnym i cynicznym. Sam przechwalał się, iż zamordował wielu przeciwników politycznych z Erzbergerem na czele.

Kandydując w 1932 r. na afiszach wyborczych tytułował się „Feme - Moerder". Pomimo to został wybrany — przedstawiciel tajemniczej i okrutnej organizacji Św. Wdowy — zdobył głosy wyborców. To było wówczas, gdy rzekoma niemoralność nie panowała jeszcze w szeregach. Moralność zaś wyborcza pozwalała na chwalenie się dokonanymi mordami.

Moralni za życia, niemoralni po śmierci

(x) Dzieło „czyszczenia" partji przez Hitlera prowadzone jest pod hasłem... najwyższej moralności.

Nie wiadomo czy wśród tych tragicznych wypadków konie niemieckie nie zatraciły zdolności śmiechu. W przeciwnym razie nawet niemiecki „koń by się uśmiał"!

O sposobach bowiem „życia" dowódców, wodzów prowincjonalnych i stołecznych wróble ćwierkały na dachach.

O orgjach Roehm'a mówił cały Berlin. Roehm, Heines, Ernst—żyli jak wszechmożne kacyki. Było znane powszechnie, że w pałacu, gdzie mieścił się sztab Roehm'a i Ernst'a odbywały się przyjęcia, na które



Krwawy malarz pokojowy.
(„Candide")

wyjeżdżały tonny piwa, skrzynie szampana, koniaków i win. Widziano bywających tam najwyższych dostojników partji, otoczenie Kronprinca, jego samego a nawet różnych młodych dyplomatów. Widziano też młodych i pięknych chłopców wzywanych... służbowo w brunatnych koszulach. Widywano miesięczne rachunki po 30,000 marek za alkohole!

Wszystko to działo się przez *kilkanaście miesięcy!* Wszystko to działo się w reżymie, który w imię moralności zakazał „murzyńskiej" muzyki i zamknął modny a niemoralny zakład „Eldorado".

O tem wszystkiem gdyby ktoś napisał 25 czerwca byłby „kalumnjatorem" Nowych Niemiec. Tych Niemiec, o których zasadach pouczał nas w Warszawie p. Goebbels. Ale o tych samych faktach mówił już oficjalnie komunikat rządu 1 lipca!.

Łuska spadła z karzących, moralizatorskich oczu Hitlera wówczas, gdy waśnie przywódców zmusiły go do „rozprawienia się" z krnąbrnymi rewolucjonistami.

Gdy żyli, o ich niemoralności było głucho! Dziś odsłonięto całą tę ohydę. Gdyby jednak żyli — nie dowiedzianoby się o tej niemoralności. Kto wie jednak ile „niemoralnych po śmierci" jest jeszcze dziś przy życiu i wpływach w partji? Dopiero Śmierć - Czyścicielka zdejmuje pieczęć milczenia z komunikatów.

PODRÓŻ PO LITWIE

Podróż po Litwie, to prosta rzecz, ale dostanie się żywo i cało do Litwy — należy do spraw trudniejszych. Do trzech „rzeczy", dla których — według Wilde'a — żyć warto, pozwalam sobie dodać czwartą — ryzyko takiej wycieczki.

Gdybym nie został posądzony o... lekcję przemytu mej osoby, chętnie opowiedziałbym, jak się to robi. W skróceniu: jedzie się do Wilna lub — Rygi koleją, stamtąd zaś, jak Bóg da — do litewskiej stacji granicznej: bagaż — minimalny, dusza, jak to mówią, na ramieniu. Powodzenie zależy od „łuta szczęścia", humoru zielonego strażnika, no i... od szelestu papierka wielodolarowego na samej granicy. Dalszy ciąg podróży odbywa się już na wyłączne ryzyko intruza — voilà tout.

Staje więc on samotny na rozstajach dróg litewskich i zaczyna tę ciekawą podróż.

Na szczęście, cała Litwa związana jest siecią wcale nowoczesnych autokarów; przebiegają ją one wzdłuż i wszerz, łącząc Kaunas z najdalszemi zakątkami kraju. Ta lokomocja wydaje mi się ciekawszą od zaduchu „okupacyjnych" wagoników kolei litewskiej, którą już poznałem w przejeździe do granicy.

Wycieczka autokarem ma w danym przypadku posmak krajoznawstwa i — możliwości przygód — jedno i drugie jest coś warte! Rógi i rozstaje posiadają tu cechy charakterystyczne, nigdzie nie spotykane: są to rozmaite w stylu, rzeźbione w drzewie krzyże przydrożne, niewiadomo kiedy i przez kogo rozrzucone po całym kraju. Przy wielu z nich zatrzymujemy się, znaczą one bowiem nieoficjalny przystanek autokaru. Trzeba



Wymierający typ rzemieślnika - artysty



Krzyż żmudzki.

wnina, częściowo zalesiona nie daje mi wrażenia tych puszcz litewskich, o których pisał Mickiewicz; krajobraz jest naogół szary, monotonny, zrzadka mijamy wsie dawnego typu i kościelne, różniące się od naszych swoją nie centryczną, ale wydłużoną formą alei.

Inne — powstały już w latach niepodległości litewskiej, jak mi tłumaczy stary proboszcz wiejski, wracający właśnie do siebie. Rozrzucone, pojedyńcze zabudowania wyglądają zdaleka, jak pustelnie Kamedułów; jest to pono rezultat parcelacji większej własności między bezrolnych włościan litewskich. To smutna — współczesność! Droprzyznać, że te krzyże, to „baldaszkowe", to — promieniste, inne znów w kształcie „grzyba" w szczerem polu stojące — to dowód poczucia piękna u ludu, to estetyczne urozmaicenie podróży. Nasz żółty „smok" wyludnia się: wysiada przy kościele stary proboszcz wiejski, kilka studentek w czapkach wszechnicy kowieńskiej zdąża na dzień świąteczny pod strzechę rodzinną, wreszcie wysiadam — bodaj ostatni, gdzieś pod Poniewieżem.

Niebezpieczeństwo ma to do siebie, że jak do wszystkiego, można się doń przyzwyczaić. Jest zresztą ciepły dzień wiosenny, nęcą z oddali młode liście spóźnionej, litewskiej wiosny — z za opłotków patrzą na mnie czyjeś habrowe oczy...

Rozprostowuję znużone kilkogodzinną jazdą członki: jestem w jednej z najstarszych wsi kościelnych — tych z przed wojny, o długim rzędzie domków z typowemi ganeczkami i „świronkiem" — let-

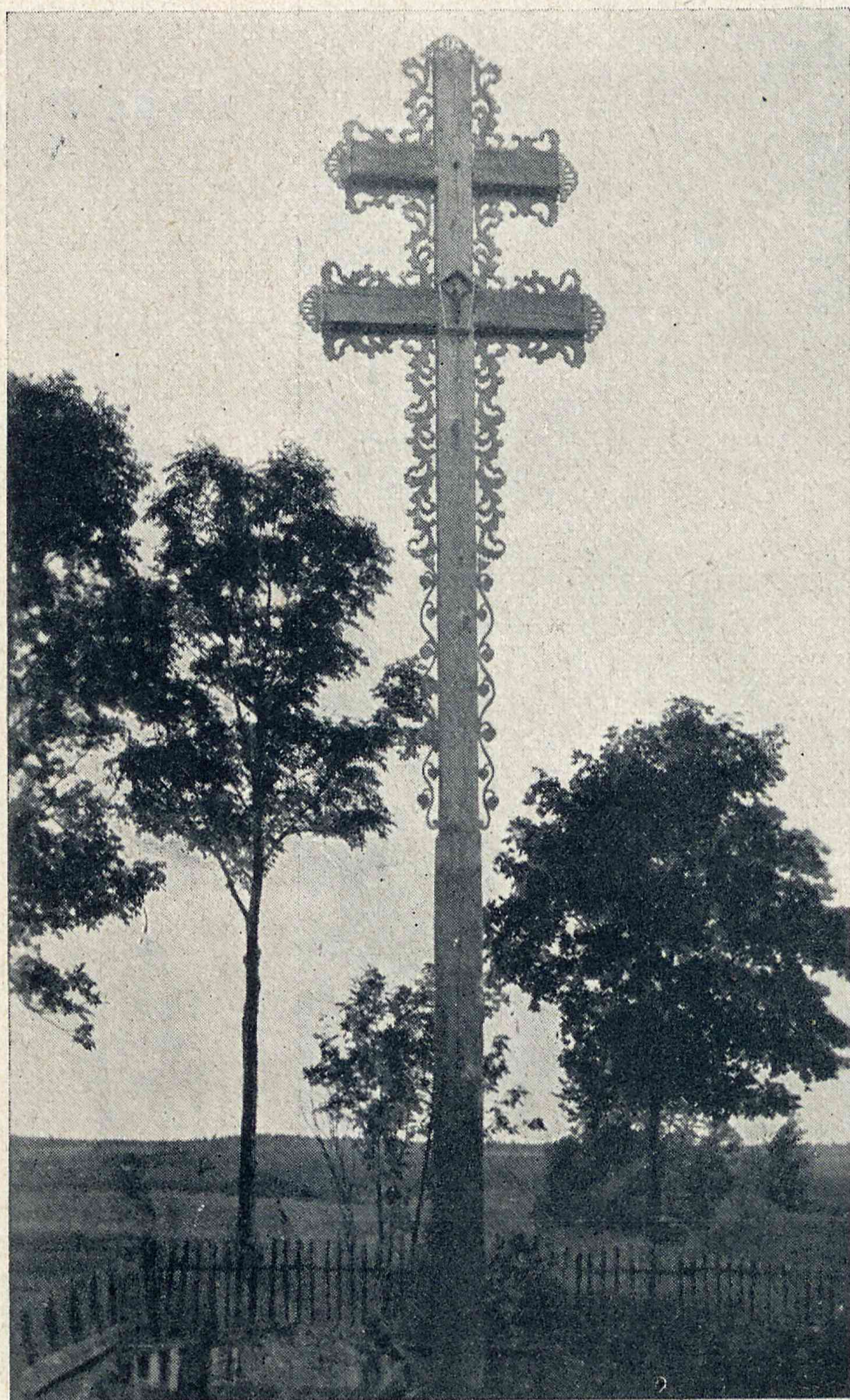
nią rezydencją gospodarzy. Przypominam sobie naprędce, że kiedyś, na wybrzeżu Połągi, nauczyłem się, nie wiem jak i kiedy, po litewsku. Przeżegnawszy się więc, jak aktor przed premjerą, pukam do jednej z chat, na oko, zamożniejszych. Otwierają mi: wszyscy są w domu zebrani na sjeście niedzielnej w t. zw. „izbie gościnnej". Trzeba bowiem wiedzieć, że chata litewska dzieli się na dwie połowy: na izbę „gościnną" i — mieszkanie gospodarzy.

Nie są oni zdziwieni wizytą, chętnie oprowadzają mnie po obu izbach. W „salonie" wiejskim widnieją nietylko liczne obrazy święte (wśród nich dostrzegam Ostrobramską z dawnym, polskim napisem, ale i ozdoby świeckie: piękne wyroby rękodzielnicze: kilimy, hafty i wzorzyste ręczniki. Drugą połowę chaty zajmuje rodzina na codzień: przy oknie stoi archaiczny kołowrotek, a litewska Małgorzata kryje się wstydliwie za przyźbą. Miły, swojski zapach świeżego razowca napełnia izbę.

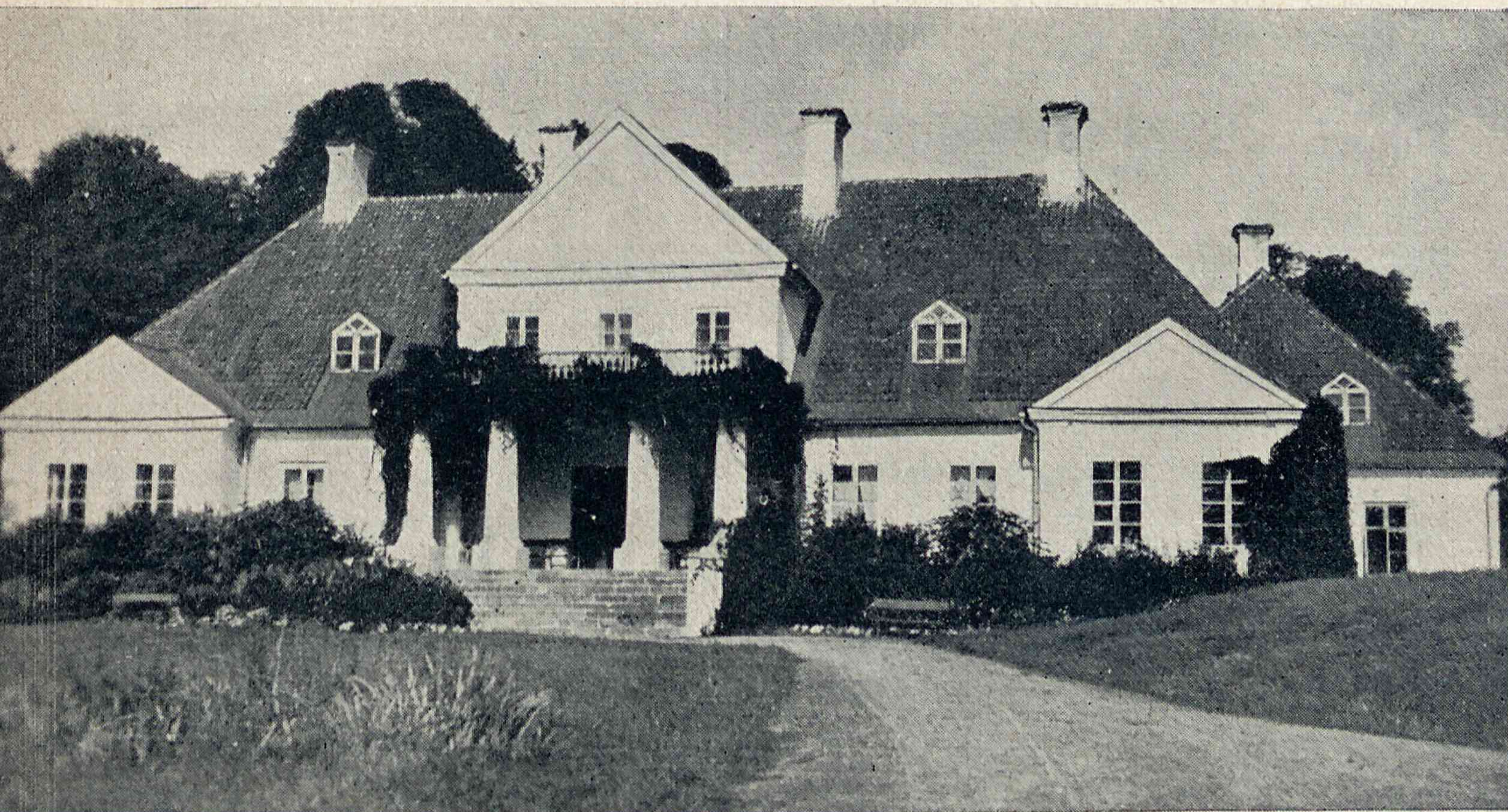
Zanim się nim uraczę wpośród ogórków z miodem i innych przysmaków litewskich, idę w gronie gospodarzy na dalszy przegląd wsi. Długa, cienista aleja — ulica, przecinająca plac kościelny z nieodzowną karczmą i — organistówką, nieopodal kilka krzyży, takich nazajutrz — i przez tydzień cały — drgająca życiem, turkotem kołowrotków, skrzypieniem „żórawi" i, co dla Litwy najbardziej typowe: pieśnią chóralną, bez której niemasz tu ani wesela, ani pracy przy krosnach.

Czasami tylko zaryczy syrena żółtego autokaru, łączącego każdą niemal wioskę z Kownem, jak gdyby memento, że to już nie czasy mickiewiczowskie, a — wiek XX-y.

Wieś litewska jest obecnie powszechnym warsztatem pracy, przeważnie rękodzielniczej i — kobiecej. Mężczyźni poza pracą na roli mają jedynie talent snycerski —



Litewski krzyż „koronkowy" w. XVIII.



Typowy dwór litewski w Janiszkach.

samych, jak przydrożne, od strony kościoła—cichy, harmonijny śpiew — oto wieś litewska w impresji. Cicha, drzemiąca w słońcu przedwiośnia w niedzielne popołudnie, oni to zdobią drogi litewskie kilkoma tysiącami (!) pasji i figur.

Jak powiedziałem, wszystkie te drogi wiodą do... nowego Kowna.

Wł. Burkath.

Kilkanaście dni temu bawił w Kownie b. premjer p Aleksander Prystor.

Na zebraniu w Druskienikach wileńskiej grupy parlamentarnej grupy B. B. W. R. p. Prystor podzielił się z zebranymi swemi wrażeniami i spostrzeżeniami z ostatniej swej podróży.

Senator Abramowicz scharakteryzował stosunki polsko - litewskie, poczynając od czasów przedwojennych, aż do dzisiejszego stanu kulturalnego i gospodarczego kontaktu naszego z Litwą.

Dłuższa i na wysokim poziomie prowadzona dyskusja była następstwem tego przemówienia. Zabierali w niej głos znawcy stosunków polsko-litewskich na wileńszczyźnie.

Na zakończenie zebrania powołano do spraw polsko - litewskich specjalną komisję wileńskiej grupy parlamentarnej B. B. W. R.

STEFANJA JANKOWSKA

WRAŻENIA Z MAROKKA

III

Marrakesz, stolica władców Atlasu Fot. de Mazière



Pod murami Marrakesz.

Nie wiem dlaczego mówią tutaj Marrakech albo: Marrakesz la Rouge. Spalone słońcem, raczej koloru liścia zmęczonego jesienią — nazwaćby je należało Marrakech la Rose.

Siedem symbolicznych bram wprowadza w chaos i labirynt podniszczonych, kruszących się murów, wąskich uliczek, długich korytarzy o sklepieniach cień rzucających na białość i kolorowość burnusów, w których Europejczyk byłby pakietem bielizny, a w których tu odgaduje się z łatwością harmonję linji elastycznej, pełnej godności każdego przechodnia, w największym ścisku potrafiącego niewidocznem odchyleniem ramienia, tułowia, prześlizgnąć się, nie musnąwszy nawet tego, którego zdawał się nie widzieć, krocząc dumnie wprost przed siebie. Bez końca płynie strumień ludzki niewypowiedzianie różnorodny. Kobiety, których jedynie czarne oczy błyszczą z pomiędzy masy materjału, fezy czerwone, turbany białe, oblicza z bronzu lub hebanu, skóry fioletowe i złocone, żydowskie jarmułki, burnusy kolorowe mieszkańców południa dumnych i ponurych, noszących na widocznem miejscu sztylety w pochwach artystycznych miedzianych lub srebrnych, sprzedawcy wody prawie nadzy, Caïdowie o siwych brodach w niewinnych muślinach, żebracy wstrętni, a mimo to piękni, bo nędzarze czy bogaci wszyscy są tu piękni postawą, wspaniałą manierą drapowania się na żywe posągi. Wszystko to kłębi się między szeregiem maleńkich sklepików-kramów, w których śpiewa cudowna melodja kolorowa jarzyn, owoców, albo wybucha fanfara pomarańczowych *babouches* (sandałów), jedwabi lub dywanów. U progu każdego kramu siedzą ludzie pogrążeni w marzeniu jak we śnie i samotności, nie robiący wrażenia, iż przeszkadza im to, że po ich bosych stopach się depcze! Setki poganiaczy osłów jucznych krzyczą *Balek!* Tak samo krzyczą *Balek!* poganiacze majestatycznych i zabawnych wielbłądów, zmuszających do cofnięcia się auto, które w swej nieostrożności zaryzykowało ten labirynt.

Jest się upitym, oszołomionym zgiełkiem, kolorem, zapachem pełnym mięty, pieprzu, frytury. Ale nie jest się nigdy potrąconym. Te osły, te wielbłądy tak jak ich właściciele posiadają tajemnicę, wyciągnięcia się, wejścia w mur, wymodelowania się jak wosk, a tłum ten jest więcej niż grzeczny, jest uprzejmy i majestatyczny. Uśmiech co chwila błyszczy w białych zębach, uśmiech ludzi wschodu, których wielką troską jest zawsze chęć podobania się. Zapewne ten góral dalekich szczytów Atlasu odziany w ciemnoniebieski burnus, wczorajszy zuchwały powstaniec, zamyka się w groźnem milczeniu i spojrzenie nie najpewniej przyjazne rzuca, ale jego godność każe mu wyrażać pogardę — kurtuazją. Mili zato i weseli są Berberzy z nizin. O ciałach elastyczności przedziwnej, o cierpliwości i wytrzymałości wydających się nierzeczywistemi. Pracowitość ich jest legendarna. Oni to wykończali sławne drogi Marokka, w szczególności Atlasu z odwagą nieprawdopodobną. Są cali mięśniami i nerwami — bez tłuszczu. Wyzbyci z wszystkich naszych przyzwyczajeń, intoxykacji. Często nieco herbaty z miętą wystarcza im za całodzienne pożywienie. Bez bagażu potrzeb, które nam się wydają nieodzowne do najskromniejszego życia, są oni wolni, zawsze gotowi i nie dziwiący się niczemu. Zdumiewać się należy spotykając ich na dalekich szlakach Atlasu, gdy setki kilometrów nad przepaściami i po przez szczyty pędzą przed sobą zwierzęta objuczone. (Sandały zawsze w ręku, by je oszczędzać). Ogień słoneczny, ulewa w rodzaju potopu nie przeszkadzają im przebiegać fantastycznych przestrzeni po kamieniach rozdzierających bose stopy. Gdy już dalej iść nie mogą, zatrzymują się, by zjadłszy parę suchych daktyli z kawałem równie suchego chleba, odpocząć i spać pod drzewem, w zagłębieniu skały, na piasku — gdzie się da. Czas wyraża się dla nich jedynie wschodem, południem i zachodem słońca. Godzinami modlitwy. Wędrują tak dniami i dniami aż dowędrują do miasta, gdzie zdobywają herbatę i cukier wzamian za to co przynieśli.

Wtedy bawią się jak dzieci! Oni, którzy

Charakterystyczne typy żydów z Marrakesz.



nigdy nic nie widzą! Pożerają wzrokiem, słuchem, opowiadaczy bajek, zaklinaczy wężów, tancerzy i tworzą z tego placu Djema el Fua w Marrakechu — olbrzymi jarmark pełen białych i kolorowych plam, które błogosławi najświętsza Kutubia, subtelna, rzeźbiona wieża, strzelająca w niebo, równie piękna jak siostra jej Gilalda zabłąkana Almochadoskich czasów do Sevilli.

Błądząc między domami z zeschłej kruszącej się ziemi i łupiących się kamieni, mija się dzielnice zazdrośnie chowające rękodzielników, którzy metod swej pracy nie zmienili od wieków. W dzielnicach garncarskich gdzie prymitywne piece są obsługiwane przez mężczyzn koloru ziemi, w dzielnicach garbarzy, gdzie dla farbowania skór dzieci łupią i przygotowują owoce grenady i farby, któremi się spryskują jak krwią — odnalazłam tak, jak je sobie wyobrażałam, czasy biblijne, nietknięte, a także to życie prymitywnej Afryki, które genjusz Flaubert'a odtworzył nam w *„Salambô"*. Widziałem Jakóba i Labau, minęłam Eliezera, Rebekę, najprawdziwszego Shylocka i tych, których Rembrandt malował w ghettcie amsterdamskiem. Ludzkość mnie zdradzić najokrutniej w chwili, gdy sobie świadczą najdelikatniejsze, wschodniego zapachu i gatunku uprzejmości. Ambicja i zazdrość, które nie przestają nigdy owiewać tych płomiennych natur — zdmuchują uczucia jak muśliny otaczające ich głowy. Nienawiść tu jest równie mało solidna jak przyjaźń. Nie serce a interes decyduje o jej trwałości.

Po przez cały rok w tajemniczych pałacach Marrakechu i w bardziej jeszcze tajemniczych wielkich zamkach Atlasu knują się tysiączne perfidyjne intrygi, za któremi idzie niedająca się nasycić chęć zemsty, o której jednak w potrzebie się zapomina. Naturalnie, plemiona dzielą wrogie uczucia swych panów — co w rezultacie pogłębia stałą atmosferę anarchji u Berberów.

Ciekawym jest też widok tych władców Atlasu, gdy z okazji jakiej uroczystości spotyka się ich u Sułtana czy u Rezydenta (przedstawiciela rządu francuskiego).

Od przyjścia francuzów nienawiści wiekowe musieli ujarzmić i żyć, jeśli nie w pokoju, to w porozumieniu. Oto teraz, w tym salonie rozmawiają, trzymając się serdecznie za ręce, prawie czule pochy-



...Kutubia, subtelna rzeźbiona wieża...



Marszałek Lyautey, dekorując Paszę Marakeszu daje mu sakramentalny pocałunek.

przeważnie nędzna, ale pełna godności i majestatu.

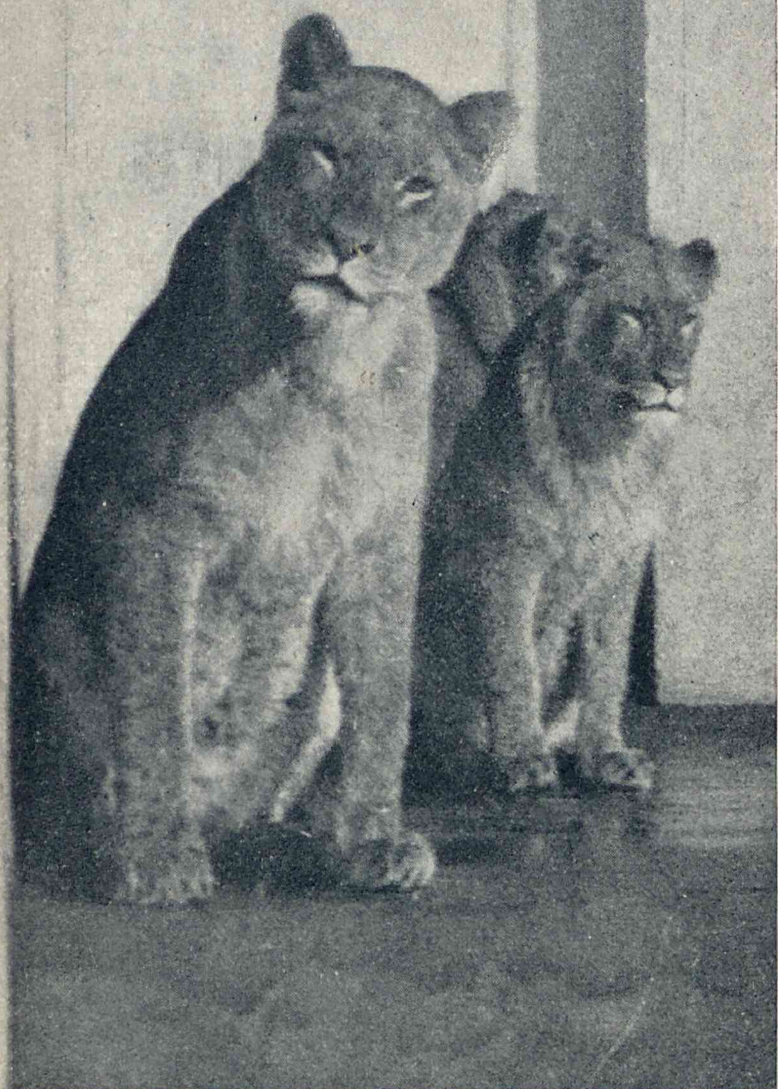
* * *

Wiele opuszczonych przestrzeni słońce wysusza do reszty — zaś nad ciszą i zgiełkiem wyniośle i tajemniczo panują w tem najdziwniejszem mieście pałace paru feodalnych władców, których prestiż roztacza się stąd od wieków na całe południowe Marokko. W pałacach swych prowadzą oni życie pół europejskie, pół wschodnie. Przynależność ich zaś do sułtana jest jak przynależność plemion do nich samych. Mocna o ile sułtan jest mocny, nominalna — jeśli nie może on im dać odczuć swej siły. Między sobą się nienawidzą, godzą, znów gniewają z łatwością rozbrajającą. Gotowi się wzajelają się jeden ku drugiemu — ramię sobie całując (czyżbyśmy Polacy aż u nich ten zwyczaj zapożyczyli?!) A gdy tyle kurtuazji dobrotliwej w hołdzie u stóp sobie składają, ktoś szepcze mi do ucha straszliwie krwawą kronikę dziejów ich rodów i ich samych; tych namiętnych, gwałtownych, nieokiełznanych synów pustyni. — Jeśli kochają wojnę, jej trudy i niebezpieczeństwa, kochają także wszelki zbytek swego kraju i Europy.

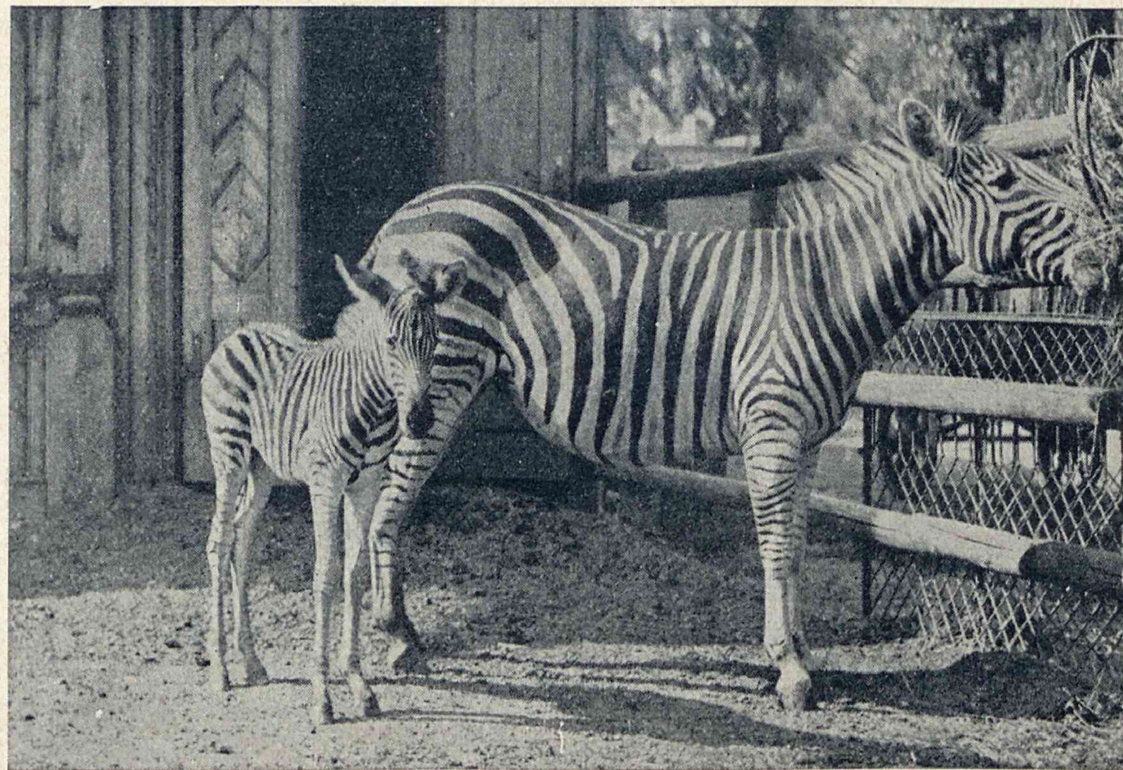
Pasza Marrakechu El hadj Thami Glaoni co rok odwiedza ze świtą swą Paryż i Riwierę: widywało go się w Cannes ubranego po europejsku — w prywatnych rezydencjach francuskich i angielskich — bardzo też często w Palm Beach Kasynie, zgrywającego się z zapamiętaniem w baccarat'a. Kiedyś dowcipna pani de la R. widząc przy stole gry ponurą minę paszy, głośno mu powiedziała: „Excellence, *au jeu perdant, au amour gagnant"*. I stare to francuskie przysłowie Glaoni się sprawdziło. Karawany najładniejszych, najelegantszych kobiet się przewijały jego drogą (czy drogą jego automobilu?). Było to tem zabawniejsze, że pocichu z ust do ust szła wieść, iż haremy paszy Marrakechu wyekwipowane są w 800 (osiemset!) małżonek, co widocznie dla władcy Atlasu nie jest rekordem. Złośliwi dowodzili, iż kosztuje on Francję nieco grosza — coś do piętnastu miljonów rocznie. Dobrze jednak poinformowani twierdzą, iż usługi jego więcej są warte. Że jeśli kobiet i największego zbytku nie unika, nie unika też i nie lęka się prochu, potrafiąc swe administracyjne i pałacowe zajęcie odłożyć, by się przeoblec w wojownika wspaniałego, który na czele swej *harki* idzie się bić na przełęcze Atlasu, ryzykując sto razy swe życie w interesie Francuzów i swoim, paląc kasby, wydając krwawe sądy doraźne! Poczem wraca, by znów być widzianym uprzejmym, eleganckim w swym automobilu na ulicach Marrakeszu.

A co powiedzieć o wdzięku przyjęć u któregoś z tych feodałów? Kilkanaście dań stoi na dywanie w miedzianych naczyniach pokrytych kolorową rafją. W nich najdziwniejsze tajemnice kuchni oryginalnej i przemyślanej. Jako stół wielka taca miedziana, jako krzesła poduszki, jeść należy palcami. Prawdziwa biesiada kochanków. (D. c. n.).

PRZYCHÓWEK WARSZ. OGRODU ZOOLOGICZNEGO



Młode lewki.



Zebrzątko z matką.



Mały czytal z matką.



Lamiątko z matką.

Nasze pięknie i szybko rozwijające się stołeczne Zoo posiada pewną osobliwość, którejby mu pozazdrościć mógł niejeden starszy i bardziej zasobny ogród zoologiczny Europy. Posiada wśród rosnącego ustawicznie zastępu mieszczących się w niem przedstawicieli świata zwierzęcego coraz więcej okazów „własnego chowu". Albowiem pod umiejętną a troskliwą opieką dyrektora, dr. Jana Żabińskiego, stworzone tu zostały warunki, w wysokim stopniu sprzyjające rozmnażaniu się czworo i dwunożnych pensjonarjuszy ogrodu Zoologicznego.

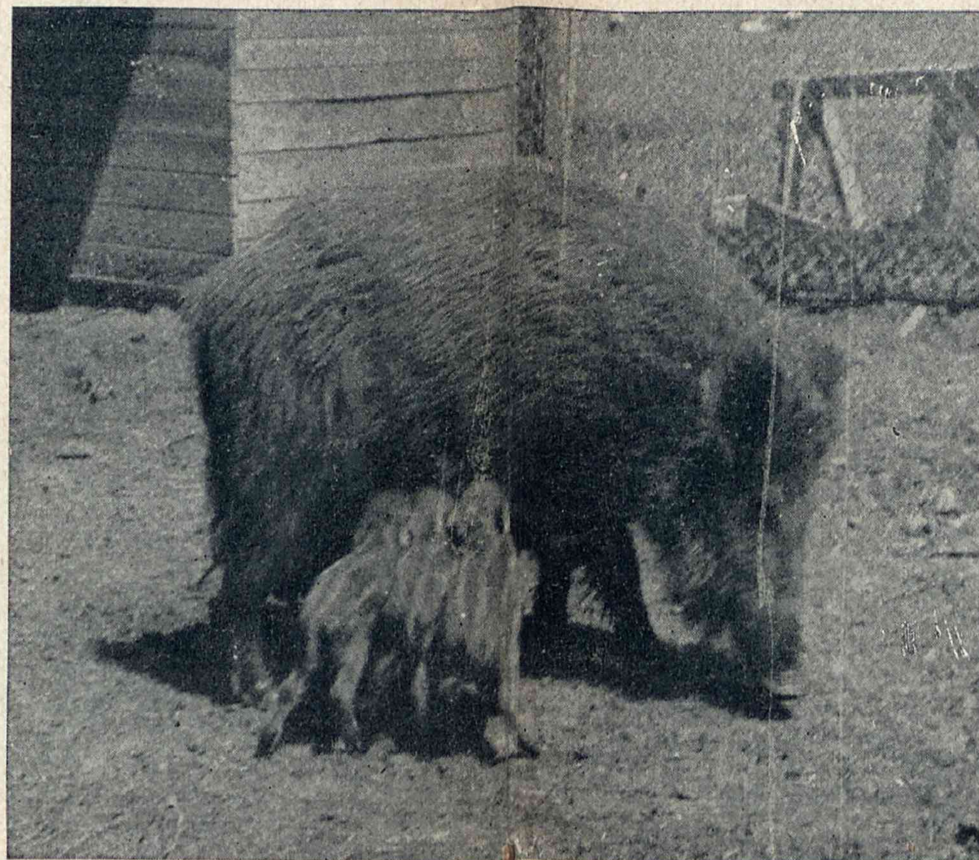
Pumięta.



Pierwsze miejsce pod tym względem zajmują niewątpliwie *lwy*, których w ogrodzie dotąd przyszło na świat w ciągu kilku lat jego istnienia ni mniej ni więcej tylko 38 sztuk. Prawdziwa inflacja! Jedna z lwic — Djana — obdarzyła Zoo warszawskie 15 lwiątkami, z pomiędzy których taki Apollo — potężna bestja o ciemnej, niezmiernie obfitej grzywie, należy do najpiękniejszych okazów swej rasy, znajdujących się w ogrodach zoologicznych. Wywołał on niekłamany zachwyt takiego specjalisty, jak hamburski Hagenbeck.

Pod względem wydajności z lwami warszawskiemi mogą konkurować tylko dzikie psy australijskie — *dingo*, których co roku przybywa kilkanaście. I *wilki* nie pozostają wtyle. Obecnie można oglądać wilczycę, która karmi swoich pięcioro małych, prawie czarnych wilcząt.

Wśród wielkich kotów (poza lwami) dzielnie mnożą się *lamparty*. Z pomiędzy sześciu chowających się w ogrodzie cztery w nim się urodziły. Niedawno przyszła na świat parka prześlicznych *pum*, południowo-amerykańskich. Pstre *oceloty* dały już parę razy piękny przychówek. W przeszłym roku po raz pierwszy dochowano się pary młodych *tygrysów*, ogromnie przywiązanych tak do swych rówieśników — lwów, z któremi się wspólnie chowają, jak i do swej niani, która je pielęgnowała od urodzenia.



Małe dziki z matką.

Poczciwa, niezmiernie łagodna *niedźwiedzica* Maksia prawie coroku wydaje potomstwo. Mnożą się również hjeny pręgowane.

Wśród kopytowych panuje godna uwagi płodność. Świeżo urodziły się dwa smukłe *jelonki*. Z pomiędzy *czytali* (aksisów, jeleni indyjskich) większość stanowią okazy, urodzone w ogrodzie — ostatnie w styczniu tego roku, podczas silnego mrozu. Czekoladowa lama już dwukrotnie wydała potomstwo — raz białe, jak śneg, lamiątko (po ojcu), ostatnio — w maju tego roku — białe o rudych plamkach. Urodzony w ogrodzie *wielbłąd* dwulatek już dorasta rodziców. Niebawem oczekiwane jet *zebrzątko* — drugie zkolei, gdy pierwsze mało się już różni wzrostem od rodziców. Zwiększa się bez przerwy potomstwo *kucyków szetlandzkich i osiołków*.

Mnożą się stale *dziki* i *pekari obrozne*, a w roku ubiegłym po raz pierwszy przyszło na świat malutkie *kangurzątko*. Niestety, matka jego nie okazała się na wysokości zadania i drobne zwierzątko zginęło przedwcześnie. I delikatny, wymagający wielkiej troskliwości ród *małp* wydaje w naszym ogrodzie potomstwo.

Nie jest wykluczone, że również *słonie*, tak popularne wśród zwiedzających Zoo warszawskie — Jaś i Kasia — doczekają się potomstwa. Ale tu trzeba będzie się uzbroić w cierpliwość, gdyż okres ciąży słonia trwa bezmała dwa lata...

I świat ptasi naszego Zoo (narazie jeszcze dość ubogi) nie pozostaje w tyle za czworonogami. Poczynając od zielonych papużek i różnokolorowych bażantów, a kończąc na kaczkach i egzotycznych gęsiach wzystko to znosi jaja, wysiaduje je i tą drogą wzbogaca zasobność ogrodu.

To rozmnażanie się pensjonarjuszy naszego ogrodu zoologicznego jest nietylko wskaźnikiem racjonalności prowadzonej na jego terenie gospodarki, nietylko podnosi jego bogactwo, ale jest jednocześnie czynnikiem jego naturalnego wzrostu. Przychówek ten stanowi bowiem przedmiot handlu i wymiany. I niejeden rzadki i ciekawy okaz egzotyczny dostał się do naszego Zoo wzamian za tu urodzone zwierzęta czy ptaki.

Leon Wasilowski.

Mamy żyrafę

Oczekiwana. Upragniona. Piękna. Własna. Długoszyja i zalotna żyrafa przybyła wreszcie do Warszawy. Liczne perypetje towarzyszyły jej podróży. Dziś jednak zadamawia się w naszym praskim „Zoo" — oglądając się smakowicie za gałązkami mimozy, stanowiącymi jej ulubiony przysmak. W braku jednak tej ulubionej rośliny musi się zadowolić — akacją i wierzbą. Liczni bywalcy „Zoo" zaliczyli ją już do swych ulubieńców.

Lamparciątko.



NAJPIĘKNIEJSZY



Barwny tłum Hucułów i Hucułek przed cerkwią w Żabiem, po nabożeństwie

Photo-Plat

Tegoroczne „święto Huculszczyzny", które odbyło się w dniach 7—9 lipca, pozwoliło turystom zapoznać się nietylko z krajem i jego mieszkańcami, ale i uchyliło rąbka szeregu zanikających już obyczajów ludowych, których początki toną w pomroce dziejowej.

Niedawne to czasy, kiedy na święto to ściągało dziesiątki tysięcy górali, kiedy przez setki wozów i tabuny koni przecisnąć się było trudno, a w nocy, przy świetle ognisk, młodzież — nago — urządzała przedziwne misterja w poszukiwaniu zaklętego kwiatu. Obrzędy te, jakie przetrwały w tym dzikim zakątku od pogańskich czasów, jako sprzeczne z duchem religji chrześcijańskiej, ściągnęły na siebie potępienie władz duchownych i wygasają zwolna, jak większość zresztą obyczajów ludowych, które się jeszcze tu i owdzie przechowały ku uciesze ludzi, wyrywających się poza szary krąg codzienności.

Trzy wydarzenia są dla Hucuła najważniejsze: — powiada dr. J. Falkowski, znawca obyczajowości Huculszczyzny — narodziny, wesele i śmierć. Według wierzeń Hucułów, w czasie urodzin dziecka zbiera się dwunastu sędziów pod oknami i wyznacza mu los przez wybranie gwiazdy. Aby djablica nie zamieniła dziecka na t. zw. Obminnyka zapala baba świecę, aby przeszedł anioł i pilnował je. Świeca ta pali się aż do chrztu.

Dziecko odmienione można odzyskać, bijąc obminnyka o północy na miedzy prętem głogowym po plecach. Obrzędy narodzinowe kończą *kołaczyny*, przy których widzimy specjalne pieczywo obrzędowe. Jeżeli dziecko zmarło, kołaczyny odbywają się bez muzyki. Ponieważ położnica a także baba są uważane za nieczyste, więc w pewien czas po urodzinach odbywa się ceremonja oczyszczalna.

Drugiem ważnem wydarzeniem jest wesele. Da się ono podzielić na trzy części. Pierwsza—to staranie się o dziewczynę i przygotowania wstępne. Część druga to wieńczenie i ślub. Część trzecia to wesele, przy którem zwiększa się działalność *matki i batka* weselnego oraz drużbów. Część oficjalna ślubu ma w wierzeniach ludowych mniejsze znaczenie. Przy obrzędzie ślubnym młodzi starają się zapomocą różnych zabiegów uzyskać przewagę jedno nad drugiem. Młoda będzie miała zapewnioną przewagę w domu, jeżeli podczas wchodzenia do cerkwi nadepnie młodemu na nogę, lub jeżeli pierwsza wyjdzie z niej. Młody znów usiłuje uderzyć młodą harapem. Przepisów tych i praktyk jest bardzo wiele.

Śmierć zapowiadają, wedle wierzeń, niezwykłe oznaki. Śmierć przyjmuje lud z rezygnacją, lękiem napawa go tylko powolne konanie, które ułatwia otwieranie drzwi, okien, pieca i t. p. Przesąd ten uległ

Orkiestra z Kosmacza Photo-Plat

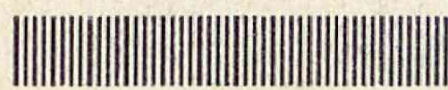


ZAKĄTEK POLSKI

u Hucułów przemianie, mianowicie tłumaczy się go koniecznością zrobienia dostępu aniołowi do umierającego. Rozmaite praktyki z jednej strony mają ułatwić zmarłemu przyszłe bytowanie, z drugiej zaś ustrzec pozostałych przed złą mocą trupa. Dom, w którym leży zmarły, oznaczają przez zawieszenie ręcznika w oknie.

Ze świętami dorocznemi związane są rozmaite obrzędy, które niekiedy mogą być dla turysty widowiskiem niezwykle ciekawem. Np. w niedzielę palmową chodzą dzieci po chatach, za co dostają pieczywo obrzędowe, zwane „kokucami". Huculi wierzą, że gdy zaniknie zwyczaj dawania kokuców, zginie też świat.

Od siebie dodam, że przeżywane powszechnie przesilenie gospodarcze pociągnęło za sobą zubożenie Hucułów, to zaś z kolei wpływa na zanik wielu pięknych, ale i kosztownych zwyczajów. Hojność była ich charakterystyczną cechą. „Dawniej na t. zw. pomanę dostawał ksiądz za pogrzeb parę wołów, które ciągnęły sanie z trumną nieboszczyka, a na dodatek konia, na którym kondukt prowadził; gości, kochanych i zacnych, obdarowywano przy pożegnaniu podarunkami takiemi, jak para koni pod wierzch z siodłami i uprzężą... Piękne trembity, robione ze świerków piorunem rażonych, wypiera tandecka trembita blaszana, robiona przez Żyda-blacharza w Kosowie lub Kutach" i słuszniej za trąbę jerychońską uchodzić może...



Jarmark w Żabiem gromadzi setki Hucułów i tysiące przepełnionych kobiałek



Photo-Plat



Są to jednak, na szczęście, drobne narazie, sporadyczne skazy na obrazie Huculszczyzny, która jest jeszcze i pozostanie jeszcze długo najciekawszym pod każdym względem zakątkiem naszego państwa, krajem, który zaspokoić zdoła upodobania zarówno letnika i kuracjusza, jak uczonego, turysty lub fotografa. *Jerzy K. Maciejewski.*

Piękność huculska Photo-Plat



Tegoroczne Święto Huculszczyzny, które odbyło się w Worochcie i Żabiem w dniach 7 i 8 lipca wypadło specjalnie imponująco.

Parę tysięcy przyjezdnych ze wszystkich dzielnic Polski mogło „odkrywać" w Worochcie, Żabiem, Jaremczu zarówno piękno kraju, jak i ludności miejscowej, jej strojów i sztuki.

Ze sfer oficjalnych przybyli na to święto pp. minister Butkiewicz, wic. min. Bobkowski, wojewodowie Jagodziński, Maruszewski, gen. Łukomski, wyżsi urzędnicy Min. Spr. Wewnętrznych, Komunikacji oraz miejscowe władze administracyjne.

Liczne fotografje z tego barwnego obchou red. „Świata" poda w uzupełnieniu dzisiejszego artykułu w najbliższym numerze.



Urocza kokietka, Ćwiklińska, i jej nieśmiały wielbiciel, Węgrzyn Fot. J. Malarski

ŚWIAT

TEATR NARODOWY

„Klub kawalerów", Bałuckiego.
Reżyserja A. Węgierki.
Dekoracje Zofji Węgierkowej.

Kiedy po przedstawieniu najrozkoszniejszych marjonetek na świecie — „Teatro dei Piccoli" Vittoria Podrecca— oszołomiona publiczność bije oklaski, wówczas wychodzi przed rampę cała trupa. Rzecz jasna, nie bohaterowie i bohaterki z gałganków i papier maché, tylko ci żywi ludzie, którzy niemi przed chwilą mistrzowskiem ruchami rąk manewrowali. „Marionettisti" z dziada-pradziada, prości ludzie wcale nie wytworni, przystrojeni nieodmiennie w grube fartuchy skórzane, jakie zakładają podczas przedstawienia dla ochrony od ucisku barjery, nad którą cały wieczór wiszą pochyleni. Nie są piękni, nie są dekoracyjni — są zdumiewający. Wziąwszy się za ręce, kłaniają się skromnie publiczności, długim łańcuchem ciągnąc się przed rampą: od primadonny, do ostatniego manipulanta. Wszyscy bez wyjątku.

To jest słuszne. I jeżeli tej samej skrupulatności nie pragnęlibyśmy w prawdziwym teatrze, to jednak pewne uzupełnienia panujących dotychczas zwyczajów należałoby koniecznie wprowadzić. W każdym razie chcielibyśmy przynajmniej na premjerze widzieć na własne oczy tego głównego „marionettistę", jakim jest w teatrze reżyser. I mieli rację widzowie, którzy na premjerze „Klubu kawalerów", bijąc brawa aktorom aż do opuchnięcia dłoni, wołali uparcie z pierwszych rzędów: „Węgierko!! Węgierko!!"

Zapewne, nie samemi oklaskami człowiek żyje. Ale byłoby rzeczą sprawiedliwą, aby i ten spiritus movens — reżyser — ponosił swoją część odpowiedzialności. Gdy sknoci przedstawienie — to go nawet wygwizdać. Gdy da arcydzieło, jak obecnie Węgierko w Teatrze Narodowym — miejmy przynajmniej okazję podziękowania mu osobiście, bezpośrednio za jego wysiłek.

Czemby był „Klub kawalerów" w innem opracowaniu? Mógłby stać się tępą piłą, płaskiem ględzeniem o niczem. Dzięki inteligencji Węgierki, dzięki jego subtelnemu wniknięciu w śmiesznostki epoki —(którą przyjął zresztą o kilkanaście lat wcześniejszą od oryginału Bałuckiego, aby miała więcej charakteru i komizmu) — mieliśmy w Teatrze Narodowym jeden z najmilszych spektakli w sezonie, widowisko lekkie, zabawne, i tak uwodzicielske, że chłodna zazwyczaj publiczność premjerowa szalała.

Umiar w grotesce—tak możnaby scharakteryzować ogólny ton przedstawienia. Ten umiar, którego brakło np. parę lat temu w Ateneum przy realizacji „Domu otwartego" I wtedy śmiano się głośno, ale jakoś bardziej kurczowo, ostro i złośliwie. „Klub kawalerów" wziął do ręki nie sarkastyczny żółciowiec, lecz pogodny, lubiący nawet ludzkie słabostki artysta Żadnej figury nie zbrutalizował, z każdej wydobył jej powierzchowne komiczne przywary, osnuł je tu i owdzie nawet leciutką melancholją — (Węgrzyn, Dulębianka, Stanisławski) — a w sumie pozwolił nam śmiać się beztrosko, szczerze, jak przy przeglądaniu starych przekomicznych dagerotypów w albumie.

Pomogli mu w tem niewątpliwie wykonawcy. Cóż za zespół gwiazd!

Ćwiklińska.. Urok, finezja, spryt doświadczonej kokietki a przytem dobroć poczciwego kobiecego serca. Cieniowanie djalogu już wprost metafizyczne: dość powiedzieć, że za jedno „Ach!" dostała burzliwe brawa przy otwartej kurtynie. Ale też z ilu elementów skomponowane było to „Ach!".. Czy artystka zdobyła w końcu III-go aktu tylko te cztery oświadczynowe bukiety z rąk zakamieniałych starych kawalerów? — Gdzietam! Takie same bukiety składali jej w myśli wszyscy obecni widzowie.

Obok niej cudowny w swem niedołęstwie Węgrzyn. Nieprawdopodobna jest skala możliwości tego wielkiego aktora: Węgrzyn — demon, Węgrzyn uwodziciel o płomiennych oczach, Węgrzyn — tragik o spiżowym głosie, przeistoczył się w bezbarwną, wypraną figurę, w piramidal-

Fot. J. Malarski

Groteskowi członkowie „Klubu kawalerów" — Grabowski, Wesołowski, Stanisławski i Węgrzyn.



TEATRU

nego ślamazarę, rozbrajającego i pobudzającego do szalonej wesołości każdem machnięciem ręki, każdem bezradnem spojrzeniem.

Janecka — zacności herod-baba, bezinteresowna apostołka związków małżeńskich, samem ukazaniem się wywołała burzę śmiechu i grzmot oklasków. Grała dosadnie, zamaszyście, szeroko, soczyście podkreślając ciasne horyzonty myślowe imć pani Dziudziulińskiej. Wzięła za łeb widownię, tak jak po kolei brała za łeb wszystkich bezżennych bohaterów komedji.

Dulębianka — z nikłej, niewielkiej roli Mirskiej wydobyła całą troskę — dziś dla nas tylko komiczną — matki, której córeczka ma wiele uporu a wcale nie ma posagu... To zabiegliwe skłopotanie, pilna krzątanina koło szczęścia córeczki, oddane były świetnie półtonami i półgestami. A potem — zaskoczenie mirażem osobistego szczęścia, perspektywą nowego własnego życia, — wszystko oparte zresztą na nieporozumieniu — zagrane w sposób niezwykle dyskretny.

Koło zafrasowanej mateczki uwijała się pseudo-naiwna rozbrykana Marynia, której perypetje sercowe, rozgrywające się między prawdziwemi łzami a sztuczną oschłością, okrasiła wdziękiem swoim Nina Świerczewska. Zwłaszcza w akcie III-im młoda artystka szczerością akcentów i uroczym wyglądem przekonała nas dobitnie, że miał rację „wujcio" Sobieniewski, gdy tracił dla niej głowę.

W roli tej Stanisławski dał świetnie wykończony typ starego kawalera z przed lat sześćdziesięciu. Okrągłość form towarzyskich, zawodowa szarmanckość wobec dam, łatwość topnienia pod żarem młodych oczu kobiecych, — a potem te resztki rejterującego rozsądku i rozwagi — to był właśnie znakomicie zagrany taki starszy pan, jakiego sobie wyobrażamy w tej epoce.

A inni członkowie słynnego klubu? Grabowski wyraźnie groteskowy ale jeszcze nie wypadający z ogólnego tonu, dał wykończoną w najdrobniejszych szczegółach karykaturę ulubionego swego w ostatnich czasach ramola. (Książę-konkurent z „Kupca Weneckiego", stary baron z „Lekkomyślnej siostry", a teraz ta żywa, choć już na krawędzi marjonetki stojąca, doskonale wygrana rola). Wesołowski i Roland byli młodzi i zakochani, a Buszyński w roli Piorunowicza ciskał gromy, które zmieniły się w szept miłosny u stóp Ćwiklińskiej. Inne role zagrali żywo i wesoło Kajzerówna, Janowski i Norski.

Specjalną recenzję chciałoby się poświęcić stronie zewnętrznej tego przedstawienia. Zofja Węgierkowa spojrzała na epokę nieco ironicznie zmrużonemi oczami — i dojrzała w niej całe bogactwo szczegółów do wydobycia. I to co komiczne, w naszych oczach zakrawające dzisiaj na groteskę. I to, co jednak miało swój czar — i co dzisiaj wchodzi znowu w modę. Dała dekoracjom te frendzle, pompony, wypychane tapicerskie foteliki, jakiemi już nie chcielibyśmy otaczać się dzisiaj. I dała strojom męskim te przezabawne kratki, i żaboty i kuse fraki, i szapoklaki przy oświadczynach, i marynarki z „godetami". Panom przeznaczył autor role komiczne, — i dekoratorka kostjumami dowcipnie podkreśliła ich komizm. Damy zaś ubrała ściśle według mody, ale odgrodziła wyraźnie śmieszność stroju Dziudziulińskiej od prześlicznych kreacji, które prezentuje Ochotnicka. Suknie, które Z. Węgierkowa stworzyła dla Ćwiklińskiej każda dzisiejsza elegantka też chętnieby nosiła: seledynowe marzenie podpięte fijołkami (z aktu II-go) było szczytem wykwintu.

Specjalnością Węgierkowej jest tworzenie akordów barwnych z grupy kostjumów: gdy w akcie II-im rozmawiały ze sobą Ćwiklińka i Dulębianka, wrażliwy na piękno widz rozpływał się nad tą zielono-lila harmonją. Walory talentu Z. Węgierkowej powinny być w teatrze częściej wyzyskiwane.

Z. Norblin Chrzanowska



Trzy serca i trzy stylowe bukiety u stóp damy. (Wesołowski, Ćwiklińska, Grabowski, Węgrzyn). Fot. Malarski

Fot. Malarski
Bałamutka — Świerczewska i zakochany „wujcio" — Stanisławski.



E. S. BROOKS

Plamy na słońcu (Nowela)

Jan Townrow odłożył gazetę i zmrużył oczy.

— To dziwne — mruknął przestraszony.

Sąsiad spojrzał na niego pytająco.

— Czy pan nie zauważył jak silny stał się nagle blask słońca? — zapytał Townrow, zdejmując okulary i patrząc pierwej na swego sąsiada, a potem na otwarte okno pociągu.

— Nic nie zauważyłem — odparł tamten. — Wyjechaliśmy właśnie z tunelu i może dlatego...

— Nie, nie — przerwał mu Townrow. — To było coś zupełnie innego. Nagły błysk, od którego oczy mnie zabolały Może mi się tylko zdawało, lecz mógłbym przysiąc...

Popatrzył na zalane słońcem domki podmiejskie. Co rano, sześć razy na tydzień, Townrow jechał koleją elektryczną, lecz nigdy jeszcze światło słoneczne nie wydało mu się tak jasne, tak intensywne. Nikt inny tego nie zauważył, choć współtowarzysze podróży robili uwagi o piękności ranka.

— Widzę, że pan czytał o plamach na słońcu — zauważył z uśmiechem sąsiad, rzuciwszy okiem na odłożoną gazetę. — Wie pan, nie trzeba się zbytnio przejmować tem, co ci uczeni opowiadają.

— Zgadzam się — odparł zagadnięty — lecz musi pan przyznać, że oni wiedzą więcej od nas. A właśnie dowodzą, że plama na słońcu, która powoduje tę niezwykle piękną pogodę jest... jakaś inna. To jest coś nowego, co się jeszcze nie zdarzyło.

— Przecież plamy na słońcu są czemś zupełnie zwyczajnem?

— Zwykle i owszem. Teraz wszakże, według uczonych, dzieje się coś niezwykłego. To co my nazywamy plamą na słońcu, jest naprawdę wybuchem lotnej lub płynnej materji, posiadającej temperaturę miljonów stopni i rozległość może setek tysięcy kilometrów.

— Wcale przyzwoita plama — uśmiechnął się towarzysz podróży.

Townrow zmarszczył się. Sposób wyrażania się sąsiada nie podobał mu się, był nie dość poważny. Ten problemat nowej plamy na słońcu poruszający uczonych interesował go nadzwyczajnie.

Życie pędził banalne i nudne. Posada starszego buchaltera poważnej firmy Smithers, Ltd, nie dawała okazji do żadnej emocji. Życie domowe z wiecznie kwękającą żoną i trojgiem dzieci w wieku szkolnym, było jednostajne do najwyższego stopnia.

* * *

— A to co? — wyszeptał Townrow, drgnąwszy.

Pociąg przejeżdżał przez stację węzłową w Clapham i Townrow mógłby przysiąc, że światło wzmogło się przez krótką chwilę do takiego stopnia, że aż go oczy zabolały

Niezwykłe zjawisko powtórzyło się po chwili. Szczyty dachów, na które właśnie spojrzał, zabłysły nagle oślepiająco. Pociąg pędził obojętnie.

— Przepraszam pana — rzekł tęgi pan, siedzący naprzeciwko, — słyszałem to co pan mówił o plamie na słońcu i mam wrażenie, że istotnie coś niezwykłego się dzieje. Przed chwilą blask słońca był zdumiewający.

— A to trwało tylko ułamek sekundy — odparł Townrow, a głos mu drżał nieco. — Przypuśćmy, że... że ten blask trwałby minutę? Czeka nas może taki kataklizm, jakiego świat nie widział.

Kiedy pociąg wjeżdżał na stację Waterloo, współtowarzysze podróży zapomnieli już o dziwnem zjawisku. Tłumnie wylegli na platformę i jak zawsze każdy przepychał się naprzód, chcąc stanąć na czas do pracy.

Zamiast siąść jak zwykle do zamkniętego omnibusu, Townrow wdrapał się na dach odkrytego. Chciał mieć widok na niebo.

—O mój Boże — wyjąkał nagle.

Tym razem było to już zupełnie pewne. Zewsząd dawały się słyszeć przerażone krzyki. Blask ponowił się; tym razem był mocniejszy i trwał dłużej chyba o całą sekundę. Oczy go piekły i bolały, a gdy przechylił się, aby spojrzeć na tłum uliczny, zasłaniały mu pole widzenia plamy wszystkich kolorów tęczy.

— To słońce — krzyczał ktoś siedzący za nim. — Coś się stało ze słońcem!

— Wiem to już od dwudziestu minut— Townrow odwrócił się skwapliwie. Profesor Zimmern ma rację. To może być dopiero wstęp. Prawdziwa eksplozja plamy słonecznej może jeszcze nie nastąpiła.

— Jaki profesor? Jaka plama słoneczna? — powtórzył tamten ze zdumieniem. Townrow zawstydził się swego podniecenia. Nigdy jeszcze w życiu nie rozmawiał tak swobodnie z zupełnie obcymi. Starał się zapanować nad nerwami.

Omnibus ruszył dalej i wszystko wróciło do stanu normalnego. Barwne plamy znikały mu już z oczu i tylko parę osób patrzało w górę. Wszyscy spieszyli jak zwykle do pracy.

* * *

Idąc po szerokich schodach do swego pokoju, przypomniał sobie coś, co go bardzo uradowało.

Miesiąc temu było częściowe zaćmienie słońca i Townrow zaopatrzył się wówczas w zakopcone okulary, aby móc obserwować zaćmienie. Leżały w trzeciej szufladzie jego biurka, po lewej stronie. Pysznie.

Wyjął okulary, i podszedł do małego lusterka w kącie pokoju. Starannie nałożywszy szkła, próbował dojrzeć swój obraz w lustrze. Nic nie widział. Były tak ciemne...

Nagle zobaczył siebie. Wyraźnie, ostro, odbicie jego ukazało się w lustrze, dokładniejsze niż zwykle. Tak jakby odrzucił szkła. A przecież widział je. Spostrzegł nawet, że nadawały mu jakiś sowi wygląd. Trwało to może cztery, może sześć sekund i znów ciemność zaległa. Na żadne refleksje nie miał czasu, bo ze wszystkich stron podniósł się nagle gwar i zamieszanie.

W sąsiedniej sali zabrzmiały przeraźliwe okrzyki. Jakieś hałasy, jakby ktoś potrącał meble. Z ulicy dochodziły trzaski i brzęk tłuczonego szkła. Wszystko razem tworzyło straszliwy, niesamowity hałas.

Townrow zerwał szkła z oczu i odwrócił się. Pokój wyglądał jak zawsze. Promienie słońca padały zupełnie normalnie przez okno, niebo było szafirowe. Chciał za pierwszym odruchem pędzić do biura, lecz w tej samej chwili straszliwy hałas rozległ się na ulicy. Jednym skokiem znalazł się przy oknie. Otworzył je na oścież i osłupiał. W dole panował chaos. Autobusy wgniecione jeden w drugi i potrzaskane, rozrzucone były po ulicy pod różnemi kątami, tak właśnie jak się zatrzymały, gdy ich kierowców dotknęła Wielka Ślepota. Niektóre powpadały na chodniki, zabijając lub raniąc ludzi i tkwiły teraz w wystawach sklepowych.

Wszędzie szli ludzie, wymacując drogę. Z rękami wyciągniętemi przed siebie, lub przyciśniętemi do oczu, potykali się i plątali. Wybiegali ze sklepów, spadali z autobusów. Rozlegał się jeden nieustający krzyk bólu.

Zrozumiał co się stało.

Oślepli! Podczas tych paru sekund, kiedy przymierzał okulary, przepowiadany wybuch plamy słonecznej nastąpił. A blask doszedł do takiego natężenia, że oślepił wszelkie żywe stworzenie.

W panicznem przerażeniu, Townrow odwrócił się od okna i wbiegł do biura. Przy drzwiach dwie młode maszynistki wiły się na podłodze. Młodsi urzędnicy, kierownik, sam szef — krzyczeli, potykali się, błądzili po omacku. Zmartwiał. *To* było bliższe, bardziej osobiste. I tem straszniejsze.

Townrow zrozumiał, że jest bezradny. Fatum wybrało go jako jedynego człowieka w całym Londynie, któremu wzrok pozostał... Nie, to być nie może. Setki lu-

dzi wysiada teraz z kolei podziemnej — przyjeżdża do miasta potępieńców...

Tylko ta maleńka mniejszość mogła ocaleć...

* * *

Myśli jego zrobiły nagły skok. Przedmieścia! Żona! Dzieci!

Nie zwracając uwagi na rozpaczliwe wołania, wybiegł z biura i pędem zbiegł ze schodów. Jego żona i dzieci! Żona napewno siedziała przy śniadaniu. Zawsze jadała śniadanie w pół godziny po jego wyjściu. Dzieci wyruszały do szkoły dopiero o dziewiątej piętnaście. Zapewne były w ogródku. ..

Torował sobie drogę poprzez tłum, bezładnie tłoczący się na ulicy. Ludzie wpadali jeden na drugiego, chwytali się za ręce. Krzyk był coraz straszliwszy.

Wszyscy ci ludzie byli mu jednak obcy. Interesowali go tylko teoretycznie. Cierpienia ich były mu tylko przeszkodą. Obchodziła go tylko najbliższa rodzina.

Wgramolił się do pierwszego lepszego opuszczonego auta i drżącą ręką przesunął po kierownicy...

Jechał jak w koszmarnym śnie. Używać trąbki byłoby bezcelowe. Ludzie nie mogli zejść mu z drogi, to on musiał ich wymijać. Zazwyczaj lichy kierowca, teraz doszedł do szczytów zręczności.

Wreszcie wyjechał z śródmieścia. Tłumy były już nie tak zwarte, mniej było rozbitych autobusów. Im dalej, tem chaos się zmniejszał. Mógł posuwać się szybciej.

Przedmieście robiło wrażenie miasta zmarłych... Od czasu do czasu Townrow musiał nagle skręcać, aby wyminąć jakiegoś ślepego konia, ciągnącego bezcelowo wózek piekarza.

Wreszcie jego dzielnica. Poraz pierwszy zdał sobie sprawę jak daleko mieszkał od City. Zdawało mu się, że jechał całe wieki. Skręcił w cichą ulicę i dojrzał napwół otwartą białą furtkę swego skromnego domku. Wyskoczył z samochodu i biegł, potykając się, przez chodnik...

* * *

Townrow powoli potrząsnął głową, gdy pociąg wjeżdżał na stację Waterloo.

— Wyobraźnia może ponosić człowieka — myślał sobie — kiedy chodzi o ludzi wogóle, lecz osadza się na miejscu z chwilą, gdy idzie o najbliższych i najdroższych...

Złożył starannie gazetę, powstał i czekał aż pociąg stanie, zadowolony, że wyobraźnia nie przeniosła go poza furtkę własnego domu.

Przeł. *W. Peszkowa.*

Z GALERJI KAPITANÓW PRZEMYSŁOWEJ ŁODZI



P. gen. dr. Feliks Maciszewski.

Prezes Zarządu Zrzeszenia Producentów Przędzy Bawełnianej czołowej organizacji wielkiego przemysłu włókienniczego, obejmującej wszystkie przędzalnie bawełny w Polsce, Prezes Zarządu Zjednoczonych Zakładów Scheiblera i Grohmana sp. akc. w Łodzi.

Prezes dr. F. Maciszewski położył wielkie zasługi w zakresie sanacji stosunków w wielkim przemyśle włókienniczym, inicjując nowy kierunek w działalności zrzeszenia przędzalń bawełnianych i doprowadzając do całkowitego skonsolidowania się tej organizacji, decydującej o rozmiarach wytwórczości krajowego przemysłu bawełnianego.

P. prezes dr Maciszewski przeprowadził również z niezwykłą energją całkowitą reorganizację Zjednoczonych Zakładów Scheiblera i Grohmana, będących największemi zakładami przemysłu bawełnianego nietylko w Polsce, ale również na kontynencie. Dzięki niezwykle sprężystemu kierownictwu prezesa dr. Maciszewskiego sytuacja Zjednoczonych Zakładów uległa wydatnej poprawie, co się uwidacznia zwłaszcza w wzroście uruchomienia jak również liczby zatrudnionych robotników, która wynosi obecnie około 7 tys. osób, zbliżając się powoli do rozmiarów przedkryzysowych.

P. prezes dr. Maciszewki dzięki swej niezwykłej energji i wielkim zdolnościom organizacyjnym cieszy się w szerokich kołach gospodarczych polskiego Manchesteru wyjątkowym uznaniem.

Jadąc za miasto—nie zapomnij nabyć dzienników i czasopism

Z WYCIECZKI POLSKIEJ W BERLINIE



Niedawno bawiła w Berlinie wycieczka polska. Poseł nasz w Berlinie p. Lipski podejmował gościnnie wycieczkowiczów

Z POLSKIEGO RADJA



Tadeusz Łuczaj, znany szeroko wśród radjosłuchaczów bas, który debiutował w Operze Warszawskiej w operze „Eugenjusz Onegin", Czajkowskiego, grając rolę Księcia Gremina.

MOSKIEWSKI TEATR KAMERALNY



„Uriel Acosta“ — II akt — powitanie narzeczonego

W związku z sowieckim festivalem teatralnym, który ma się odbyć w Moskwie w czasie od 1-go do 10 września b. r. zamieszczamy artykuł A. J. Tairowa, dyrektora Teatru Kameralnego o zadaniach tego teatru.

Zagadnienie repertuaru staje się obecnie najbardziej skomplikowanem pytaniem w życiu teatru. Ponieważ Moskiewski Teatr Kameralny nie jest wyrazicielem pewnego tylko odłamu, lecz służy ogólnym zadaniom sztuki scenicznej, kwestja repertuaru wysuwa się na pierwszy plan.

Wobec swych wielkich możliwości Teatr Kameralny gromadzi niezbędną umiejętność odtworzenia ogromu i wielobarwności duchowego i materjalnego życia naszej epoki. Zadanie to nad wyraz poważne i skomplikowane, jednakże nasza kilkuletnia praca umożliwiła przygotowanie zespołu, zdolnego do stworzenia wykończonych całkowicie przedstawień: dramatów, tragedji, arlekinad, pantomin, operetek i t. d.

Pracę utrudnia brak odpowiednich sztuk, gdyż teatr syntetyczny nie posiada dotąd autorów, piszących wyłącznie dla jego potrzeb.

To też przy układaniu repertuaru staram się zebrać materjał jak najbardziej zbliżony do naszych twórczych zadań.

Do repertuaru obecnego sezonu włączyłem więc dwie współczesne sztuki sowieckie: „Tragedja optymistyczna" W. Wiszniewskiego i „Nadzwyczajne wyjście", W. Ponomarewa; „Wierzchołki szczęścia" — Dos Passos'a, nieznana opera-farsa „Bohaterowie"—napisana w r. 1867 przez kompozytora Borodina według libretta Kryłowa oraz wielkie widowisko klasyczne pod tytułem „Egipskie noce".

W pracy nad „Tragedją optymistyczną" stawiałem sobie jako cel znalezienie drogi ku stworzenu nowej tragedji. Nowej nie tylko dla tego, że została napisana przez współczesnego sowieckiego dramaturga, lecz i przez swój nawskroś nowoczesny charakter, a więc nowoczesną sceniczną kompozycję i metodę stworzenia indywidualnych obrazów scenicznych.

Sztuka Dos Passos'a „Wierzchołki szczęścia", łącząc oryginalne cechy jego talentu z ciekawą formą sceniczną, daje znakomity przekrój socjalnych ruchów, jakie miały miejsce w życiu i psychice różnych warstw współczesnej Ameryki. Zainteresowała nas ta sztuka, jako wartościowe dzieło rewolucyjnego autora oraz jako uzupełnienie amerykańskiego cyklu sztuk Teatru Kameralnego.

„Bohaterowie" Borodina jest to nadzwyczaj cięta i interesująca satyra na tak zwany „styl operowy". W mistrzowski sposób łączy Borodin, dowcipnie je parodjując, motywy z szeregu znanych oper i operetek odpowiednio przerobionych i zestawionych w artystycznie wykończoną kompozycję.

Obecnie Teatr Kameralny przygotowuje wielkie widowisko klasyczne „Egipskie noce". Nad tą, pomyślaną przezemnie wielką epopeją, pracuję już drugi rok, przy czynnem współdziałaniu poety W. Ługowskiego.

Całość widowiska „Egipskie noce", do którego włączyłem: „Antonjusza i Kleopatrę" — Szekspira, „Cezara i Kleopatrę" — Bernarda Shaw'a oraz „Egipskie noce" Puszkina — da jeden obraz sceniczny, obcy wszelkiemu fragmentaryzmowi, przedstawiający organiczną kompozycję, w której, na tle indywidualnych losów bohaterów, ukaże się walka dwóch epok, dwóch kultur—pogrążonego w agonji Egiptu i wojującego imperjalizmu Rzymu, narodzonego na gruzach rzymskiej „demokracji".

Zasadniczem zadaniem tego klasycznego przedstawienia, jest możność znalezienia, drogą dokładnej analizy, węzłów emocjonalnych, bezpośrednio oddziałujących na współczesnego widza i oznaczenia tych węzłów, które straciszy swą bezpośredniość, mogą być wykorzystane najwyżej dla oddziaływania mocą kontrastu.

Drugim nie mniej ważnem zadaniem dla reżysera jest kwestja wyodrębnienia w klasycznej sztuce wszelkich wartości wiecznie żywych, to znaczy tych, które czynią sztukę klasyczną, opierając na tych wartościach zasadniczy ton widowiska, a odrzucając lub tuszując elementy, ciążące na sztuce niepotrzebnym balastem.

W końcu, zadanie trzecie polega na umiejętnem określeniu środowiska, w jakiem odbywa się akcja sztuki.

Wykorzystawszy cały materjał dany przez autora i epokę, reżyser winien odnaleźć główne elementy, które staną się niezbędną odskocznią dla przerzucenia akcji sztuki przez przestrzeń i czas.

Rolę Kleopatry otrzymała słynna artystka Alicja Koonen, odtwórczyni szeregu wspaniałych klasycznych wzorów w Teatrze Kameralnym.

Muzykę do „Egipskich nocy" ułożył znany kompozytor Sergjusz Prokofjew. Stroną artystyczną widowiska kieruje artysta malarz W. Ryndin.

Aleksander Tairow.

Zasłużony artysta A. J. Tairow, Dyrektor Teatru Kameralnego



Walczmy z pornografją

Ze sfer młodzieży akademickiej otrzymujemy poniższy artykuł. Porusza on zagadnienie aktualne i ważne. Gdyby kto z naszych czytelników zechciał na ten temat zabrać głos, udzielimy mu możności wypowiedzenia się.

Rozpowszechnianie wydawnictw pornograficznych przybiera u nas tak zastraszające rozmiary, że słychać coraz więcej głosów na trwogę, ale nie czuje się za niemi świadomej słuszności żądań, jednolitej opinji społecznej. Wydawnictwa pornograficzne muszą się opłacać, skoro liczba ich wciąż wzrasta, czyli — mają stałych nabywców i chętnych czytelników.

Od kilku lat widowiska rewjowe przyciągają publiczność sensacją nagości i płaskich żartów, a teatry z repertuarem, jakiego mogą nam zazdrościć inne stolice, świecą żałosną pustką krzeseł. Teraz, jakby tej destrukcyjnej propagandy, ukrywanej zręcznie pod płaszczykiem estetyki dekoracyj i przepychu wystawy, było zamało, rzuca się na rynek publikacje, obliczone na cynizm jednych a naiwność innych.

Kto czyta wydawnictwa pornograficzne? Starsi, którym najprzyjemniej widać siedzieć w błocie i — co jest głęboko tragiczne — młodzież. Tak, nie zakłamujmy samych siebie, że to niemożliwe. Zapytajmy sprzedawców w kioskach ulicznych, patrzmy, z jakiem zainteresowaniem młodzież szkolna przygląda się ilustracjom, obrażającym godność człowieka, posłuchajmy czasem rozmów...

Dla pierwszej kategorji czytelników mamy pogardę i litość, że odrzucają wewnętrzne piękno dobrej książki, a wolą brud ulicznych pismideł. O drugich — o młodzież—lęk nas ogarnia. Nieobliczalne przecież są skutki złej lektury: w życiu indywidualnem — zanik kryterjów etycznych, cynizm, wyuzdanie; w życiu społecznem — potarganie więzów rodzinnych, całkowite zlekceważenie nadprzyrodzonej godności człowieka; w życiu politycznem wreszcie — bezład, korupcja, prywata, bo, gdy herosów zbraknie, rozpanoszą się karły. A nikt chyba nie wątpi, że tylko ludzie o czystych sercach, normalnie działających mózgach i woli, co potrafi opanować odruchy słabości, ludzie o jasnem spojrzeniu, zdrowej krwi i pogodzie, płynącej z równowagi duchowej, potrafią tworzyć w każdej dziedzinie rzeczy wielkie i piękne.

Wśród wielu metod walki z pornografją warto i tę jeszcze podkreślić: musimy zmniejszyć popyt na te wydawnictwa. Jeśli bowiem popytu zbraknie, podaż ustanie. A jak to robić? Serce matki i ojca, serce rozumnego nauczyciela znajdzie drogę do dzieci i uczniów. Zbędne się okażą długie morały i bezduszne przemówienia, wygłaszane na rozkaz, kiedy każdy z nas z mocą wewnętrznego przekonania szerzyć będzie wśród młodzieży kult prawdziwego piękna, kult dobrej książki, w czem — oby dopomogli — nasi wydawcy! Do dzieci najłatwiej i najskuteczniej się trafia metodą pozytywną — wie o tem każdy pedagog.

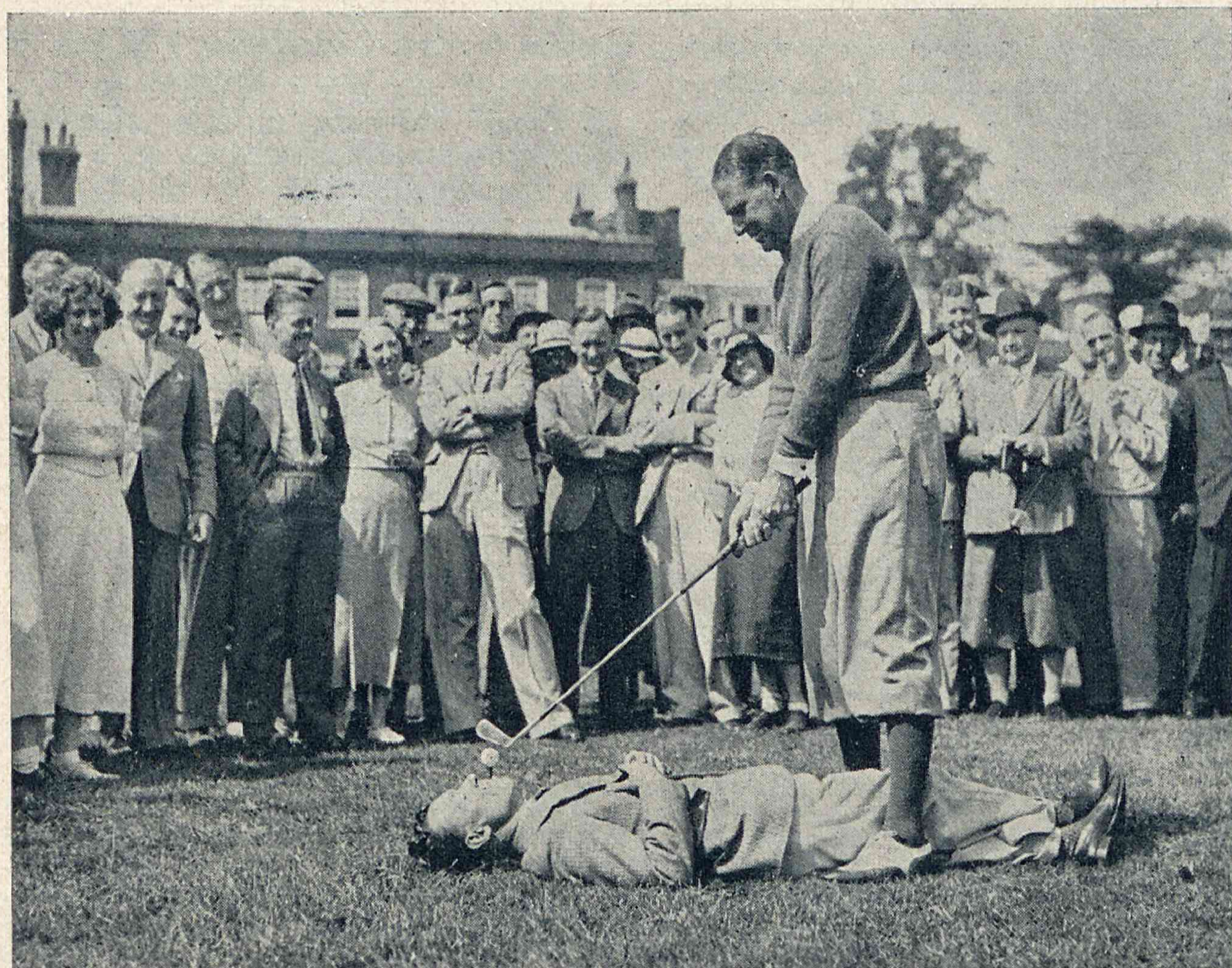
Ale i tu trzeba zacząć od siebie. Zdobądźmy się wszyscy, my ludzie dorośli, na odważną ocenę naszego osobistego stosunku do pornografji — może ją tchórzliwie tolerujemy? Umiejmy potępić złą wolę, czy lekkomyślność tych, którzy tę pornografję finansowo popierają. Miejmy odwagę powiedzieć ludziom, w których domu podobne wydawnictwa się znajdują, że wyrzucili dziś pieniądze w błoto, gdy wczoraj mogli kupić za nie perły literatury, że przy ich pomocy ktoś, komu zależy na deprawacji młodych dusz, powiększa nakład swego szkodliwego wydawnictwa. I mówmy śmiało, że wrogowie chrześcijańskiej etyki są jednocześnie wrogami potężnej Polski.

A w sklepach domagać się od władz stosowania kodeksu karnego, który w art. 214 głosi, że kto rozpowszechnia pisma, druki, wizerunki lub inne przedmioty, mające charakter pornograficzny, podlega karze aresztu do lat dwóch. Tej samej karze podlega, kto w celu rozpowszechnienia takie pisma, druki, wizerunki lub przedmioty sporządza, przechowuje, lub przewozi.

Gdyby dziś władze policyjne sporządziły kilkaset protokółów, gdyby wpłynęło tyleż skarg do prokuratora, musieliby wydawcy pornografji ustąpić wobec zdecydowanej i zgodnej opinji społeczeństwa. Bolesne uderzenie po kieszeni nauczyłoby ich wreszcie, że w Polsce wielu jest jeszcze ludzi uczciwych.

St. Tesche

WIRTUOZOSTWO W SPORCIE



Znakomity amerykański gracz w golfa, Joe Kirkwood, brał ostatnio udział w angielskim szampionacie golfowym, wykazując znakomite opanowanie techniki tego popularnego w Anglji sportu. Dla wykazania pewności swego uderzenia Kirkwood strzelał piłkę z czubka papierosa, trzymanego w zębach przez jednego z widzów.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W Nr. bieżącym wprowadzamy na stałe dział pod nazwą „Kącik Filatelistyczny", gdzie będziemy publikować prócz nowości — obecnie tak często wydawanych przez wszystkie państwa, bardziej interesujące wiadomości i specjalne artykuły tyczące filatelji.

„Kącik Filatelistyczny" stoi również otworem dla naszych czytelników, chcących podać swe cenne uwagi „pro publico bono".

Wszelkie zapytania i artykuły prosimy kierować do „Świata" z zaznaczeniem „Kącik Filatelistyczny". Na zapytania wymagające krótkiej odpowiedzi — odpowiemy w „Kąciku", — zaś wymagające obszernej odpowiedzi — listownie. (Prosimy załączyć znaczek na odpowiedź).

POLSKA.

Wszechsłowiańska Wystawa Filatelistyczna, Katowice 5 — 13 maj 1934 r., o której donosiliśmy w N-rze 21 „Świata", cieszyła się kolosalną frekwencją. Specjalne znaczki wystawowe wydane w ilości 40.000 serji były wyprzedane w ciągu 3-ch dni.



Rys. Nr. 1.

Znaczki te wartości nominalnej 50 gr. są sprzedawane obecnie w handlu po 2 zł. serja (czysta lub kasowana grzecznościowo), zaś na oryginalnych listach z kasownikiem wystawowym od 2,50 do 4 zł. za serję.

Poniżej podajemy reprodukcję jednego z tych znaczków. Rys. Nr. 1.

BELGJA — KONGO BELG. — RUANDA -- URUNDI.

Dla uczczenia tragicznie zmarłego Króla Alberta, który, jak wiadomo, był zamiłowanym filatelistą, wydała Belgja 75 cts. znaczek żałobny małego formatu w kolorze czarnym.

Również i dla Kolonji Belgijskich wydano znaczek żałobny dużego formatu, przedstawiający króla Alberta w hełmie, wartości dla obu kolonji 1 fr. 50 cts., w kolorze czarnym dla Konga i bronzowo czarnym dla Ruanda Urundi.

HOLANDJA.

Wydano dwa znaczki dobroczynne dużego formatu 5 cts. (+ 4): fioletowy przedstawiający królową Wilhelminę i 6 cts. (+ 5) — niebieski z podobizną następczyni tronu księżniczki Juljanny.

ROSJA SOW.

Zamiast oczekiwanej serji „Czeluskina", która jest w przygotowaniu, wydano odrazu trzy inne serje.

Dla uczczenia 10-lecia śmierci komisarzy J. M. Swerdłowa i W. P. Nogina wydano 2 znaczki: 10 kop. w kolorze niebieskim (portret Swerdłowa) i 15 kop. w kol. czerwonym (port. Nogina).

Z okazji 100-lecia urodzin Mendelejewa wydano serję składającą się z czterech znaczków wartości 5, 10, 15 i 20 kop. w ilości 40,000 serji, 5 i 20 kop. przedstawia Mendelejewa siedzącego w fotelu, zaś 10 i 15 kop. portret tegoż. (Rys. Nr. 2).



Rys. Nr. 2.

Trzecia wreszcie serja została wydana dla uczczenia 3 lotników sowieckich zabitych w katastrofie balonu stratoswerycznego „Sirius", który spadł w dniu 30 stycznia 1934 r. po osiągnięciu rekordowej wysokości 22.000 m.

Nakład 80.000 serji. Wartości 5, 10 i 20 kop. przedstawiają na tle balonu poszczególne portrety 3-ch lotników — ofiar, które poniosła ludzkość przy torowaniu sobie drogi w przestrzenie międzyplanetarne. Rys. Nr. 3 przedstawia jednego z tych bohaterów.



Rys. Nr. 3.

STANY ZJEDNOCZONE.

Z okazji „Dnia Matki" wydano piękny znaczek 3 cts.

ŚW. HELENA.

Ostatnio wydana serja znaczków dla Św. Heleny, w setną rocznicę przyłączenia tej kolonji do Korony Brytyjskiej, — jest ostatnim wyrazem grafiki i kompozycji.

Wydano ½ p., 1 p., 1½ p., 2 p., 3 p., 6 p., 1 s., 2 s., 6 p., 5 i 10 s. Jednorazowy koszt na naszą gotówkę przeszło 30 zł.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od Redakcji.

Pani Irenie B. z Wilna. Ze środków istotnie zasługujących na zaufanie, jako sposobu konsekwentnego usuwania zmarszczek polecić możemy aktywowany krem hormonalny „Acticrème" — marki Antiba, o sile 500 jednostek biologicznych w 1 gramie, który oddziaływując na hormony tkankowe skóry odmładza i ożywia cerę oraz usuwa zmarszczki i wiotkość skóry.

Pan Miecz. D-ski z Puław zapytuje co najlepiej stosować po goleniu by uniknąć opierzchnięcia i podrażnienia skóry. Przy skórze suchej i bardzo wrażliwej należy wetrzeć w twarz odrobinę kremu Sportowego — Antiba, który delikatnie natłuszcza naskórek, zabezpieczając od zbytniego wysuszenia i zaczerwienienia skóry. Przy skórze normalnej tłustej lub mieszanej, należy po goleniu spryskać twarz czystą wodą kolońską — Antiba, która odświeży skórę, pozbawi ją tłustego połysku i działa dezynfekująco.

Paniom z pensjonatu „Mir" na Helu komunikujemy, iż dla udelikatnienia skóry rąk i zabezpieczenia od opierzchnięcia świetnie nadaje się galaretka „Glicerijell" — Antiba, którą należy wcierać co wieczór lub po każdem myciu w wilgotne jeszcze ręce.

RADY I PRZEPISY

OZDOBNA LEGUMINA MALINOWO-WANILJOWA

na 4—5 osób, według przepisu Pani Elżbiety.

Dodatki: 2 paczki galaretki malinowej „LUBA", 2 paczki proszku na budyń waniljowy „LUBA", 60 deka cukru, 4 szklanki mleka, 4 szklanki wody i szklankę konfitur malinowych, osączonych z syropu, lub dwie szklanki świeżych malin.

Sposób przyrządzania: Śliczna ta legumina wymaga nieco starania przy wykonaniu. Robić ją najlepiej w wysokiej formie do plombieru (kremu mrożonego) lub w zwykłem rondlu o gładkich ścianach. Formę wstawiamy w porąbany lód, aby warstwy kolejne, prędko zastygały. Najprzód robimy galaretkę z jednej paczki z 15 deka cukru i dwoma szklankami wody i wylewamy ją do formy. Zanim zastygnie, robimy budyń z jednej paczki proszku, z 15 deka cukru i dwóch szklanek mleka. Na zastygniętej galarecie układamy ładnie połowę malin i zalewamy letnią masą budyniową, aby nie rozpuściła galarety. Na doskonale wystudzony budyń, lejemy stygnącą drugą porcję galarety. Gdy dobrze zastygnie układamy drugą połowę malin i zalewamy letnią masą z drugiej porcji budyniowego proszku. Doskonale wystudzoną leguminę wykładamy na półmisek. Starannie wykonana wygląda ślicznie i jest bardzo smaczna.

WYNIKI DŁUGODYSTANSOWYCH REGAT ŻEGLARSKICH

W pierwszym dniu „Święta Morza", Oficerski Yacht-Klub zorganizował długodystansowe wyścigi łodzi motorowych, oraz regaty żeglarskie na przestrzeni Warszawa—Modlin. Piękna ta impreza sportowa dała efektowne wyniki, gdyż ogółem zawodnicy zdobyli 27 nagród.

Uroczystość rozdania nagród odbyła się pod przewodnictwem kom. Petelenza, viceprezesa Polskiego Związku Żeglarskiego.

Pierwsze nagrody otrzymali: w wyścigu łodzi motorowych — kpt. Knapik, który przebył dystans w 2 godz. 41 m. 45 s. — inż. J. Orłowski — inż. C. Kołodziejski.

W wyścigu długodystansowych regat nagrodę przechodnią komandora honorowego O. Y. K. Marszałka Piłsudskiego zdobył M. Kusnerz na „Delfinie"; nagrodę przechodnią „Święta Morza" — J. Dzięcioł na „Bagatelce" i jedyna kobieta P. Żychlińska — na „Przekorze"; nagrodę przechodnią p. min. Beka — M. Marek na „Lelum"; nagrodę przechodnią min. Przemysłu i Handlu p. Raychmana — A. Chramiec na „Wilnie" i wreszcie nagrodę w klasie „H" — E. Szubert na „Gdyni".

Z okazji dziesięciolecia istnienia Yacht-Klubu, odznaczono medalami pamiątkowemi załogi poszczególnych yachtów.

CO NIOSĄ FALE ETERU?

OPERA WAGNERA „TRISTAN I IZOLDA"
wtorek — 20.12

Tola Mankiewiczówna
piątek 9 16.00.

Henryk Sztompka
sobota — 20.00.

Konkurs muzyczny
audycja III, sobota — 22.10.

Józef Woliński
niedziela — 20.12.

Sergjusz Benoni
poniedziałek — 21.10.

O kobiecie węgierskiej
odczyt — poniedziałek — 18.00.

Wychowanie seksualne młodzieży
wtorek — 23.10.

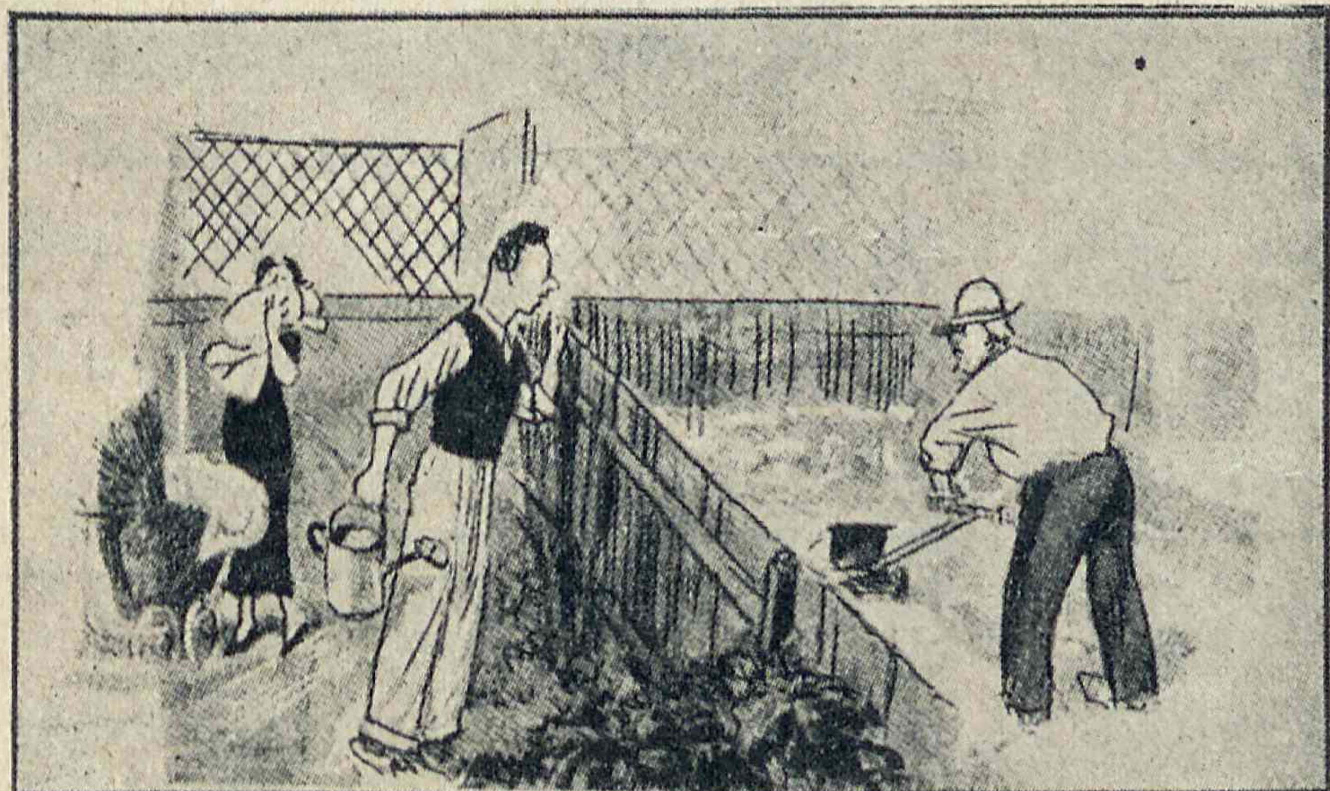
O kulturze dnia powszedniego
odczyt — środa — 18.45.

„Książka i wiedza"
środa — 18.00.

Zofja Rabcewiczowa
środa — 21.30.

„Cudowny połów" w „Teatrze wyobraźni"
czwartek — 18.15.

Maryla Karwowska
czwartek — 20.12.



SĄSIEDZKIE SPORY

— Czy nie mógłby pan trochę naoliwić tej swojej wściekłej maszynki?

— A pan nie mógłby przypadkiem naoliwić gardziołka swojemu wściekłemu bachorowi?

Anegdoty teatralne

Dyrektor operetki w teatrze „Nowości", Ludwik Śliwiński, pertraktował z pewnym tenorem z prowincji o engagement.

— Niech pan dyrektor nie myśli, że dlatego, iż to do teatrów rządowych, to się za byle co zaangażuję. Jak ja panu dyrektorowi zaśpiewam moje warunki, to pan zdębieje...

— Obawiam się — odpowiedział Śliwiński — że pan poza tem niewiele co potrafi zaśpiewać.

* * *

Reżyser operetki, Ludwik Śliwiński — przestrzegał surowo punktualności aktorów zarówno na przedstawieniach, jak na próbach.

Podczas próby jeden z aktorów spóźnił się o dobrą godzinę. Reżyser przerywa próbę i zwraca się do marudera:

— O której dziś zaczęła się próba?!

— Nie wiem — odpowiada aktor — bo spóźniłem się o godzinę. Skąd mogę wiedzieć, czy pan dyrektor spóźnił się jak zwykle o pół godziny, czy o trzy kwadranse?

* * *

Pewien aktor, mąż aktorki — sopranistki, która powiła mu bliźnięta, przyszedł do dyrektora, Juljana Myszkowskiego, aby mu się poskarżyć, iż matka nie chce bliźniąt karmić i musiał zaangażować mamkę.

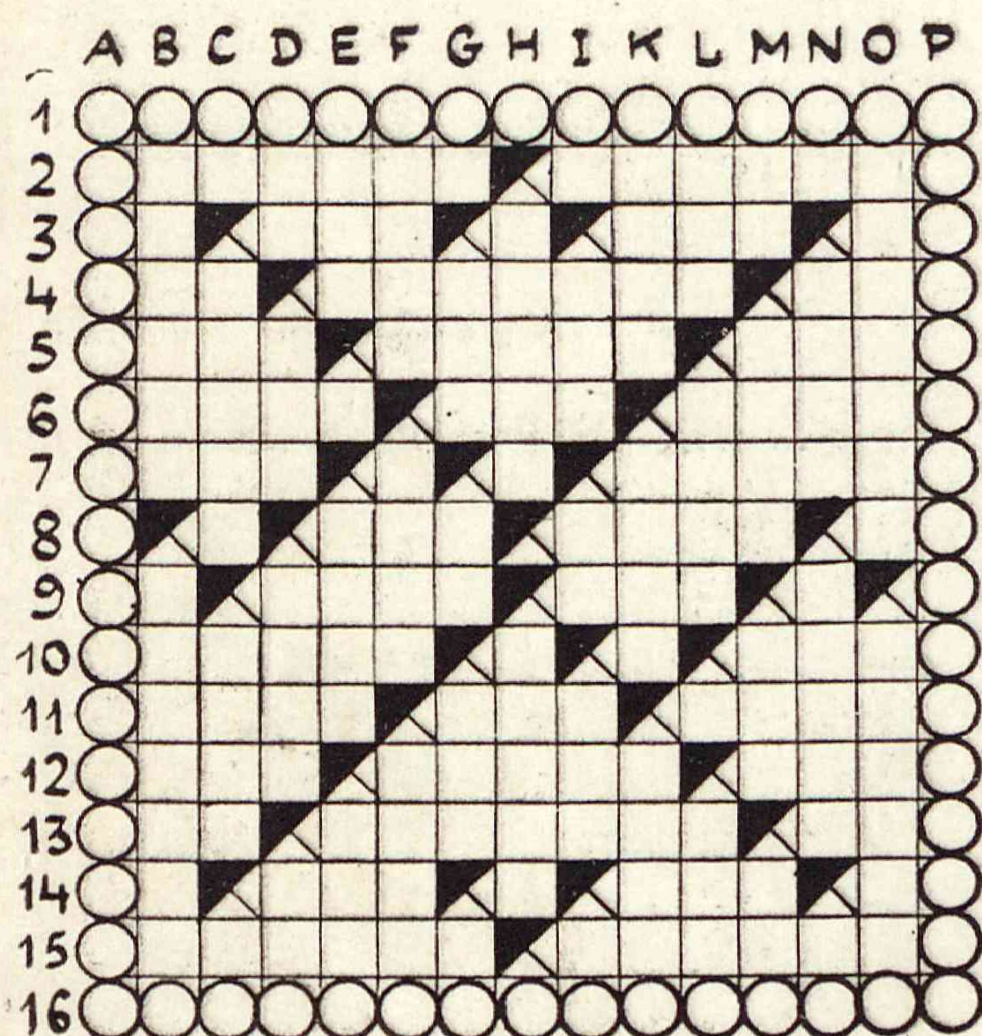
— Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje — zauważył dyrektor.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 59 (349) KRZYŻÓWKA

Ułożył H. Z. S. z Grójca.

(Za rozwiązanie 10 punktów)



Po wpisaniu wyrazów według podanego znaczenia przypadające w zewnętrznych kółkach litery dadzą rozwiązanie.

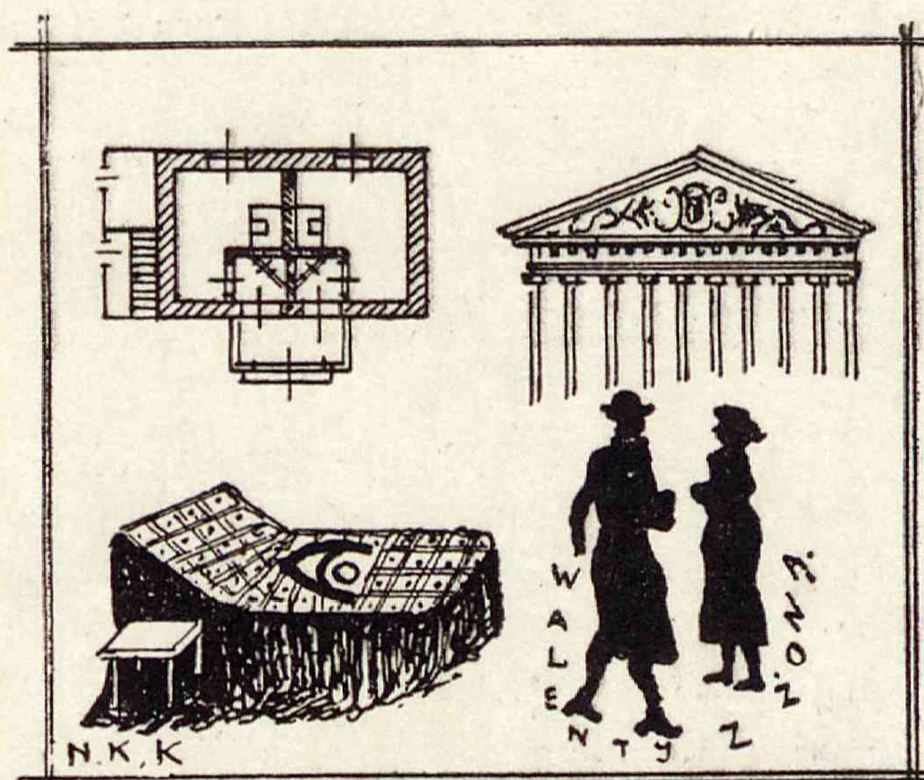
Poziomo: 1A. Uczony, filozof. 1H. „Poda myśl" inaczej. 2A. Połudn. dzielnica Warszawy. 21. Panujący monarcha, władca 3A. Przyimek kierunku. 3D. Kwiat 3K. Miesiąc. 3O. Nuta. 4A. Grunt, podkład (wspak). 4E „Wiercił świdrem. 4N. Przeczenie. 5A. Cienka, przezroczysta tkanina. 5F. Człowiek w skafandrze. 5M. Postać bib/.ijna, nędzarz. 6A. Zmierzch. 6G. Siatka tennisowa. 6L. Ptak domowy (wspak). 7A. Kanał, łączący m. Śródz. z m. Czerwonem. 7K. Rz. na Kaukazie, wpadająca do morza Kaspijskiego. 8A. Symbol azotu. 8E. Nabiał. 8I Kanapa. 8O. Miara powierzchni, 9A. Kamień dźwięczący, z którego w Chinach wyrabiają instrumenty muzyczne 9D. Poradnia. 9I. Gatunek wierzby. 10A. Piłeczka do wycinania deseni, laubzega. 10M, Hrabia angielski (wspak). 11A Mak-samosiejek. 11G. Lewy dopływ Renu. 11L. Ogólna nazwa gatunków traw (wspak). 12A. Moneta duńska + t. 12F. Waga drogich kamieni. 12M, Miasto po chińsku. 13A. Zabawa. 13E. Gatunek niedźwiedzia. 13N. Stancja, pokój (2 p.l.m). 14A. Rzeka na Łotwie 14D. Wół tybetański J=I. 14K. Papuga. 14O, Muł, 15A. Symbol potasu. 15B. Drzewo z rodziny pomarańczowatych. 15I. Miasto w okręgu Bratsberg (Norwegja).

Pionowo: A1. „Jemu" inaczej. A3. Zwierzę domowe. A7 Stan fizjologiczny (l. mn.). A15 jak 3A. B1. „Ukocham" inaczej (wspak). B9. Dojrzewać po starop. C1, Podaruje. C4, Narodowość. C10. M. w prow. Almeria (Hiszpanja). C15. Spółgłoska (fonetycz.). D5. Przeznaczenie. D9. Lewy dopływ Meży. D14. Góra w Azji Mniejszej. E1. Niedźwiedź amerykański, ostronos. E13. Śpiewak, wieszcz. F1, Zwierzątko kopalne z gromady foraminiferów, odkryte w Kanadzie. F7, Żyła w ciele, F12. Napój odżywczy. G1. Wradjot. fale nietłumione. G4. Masowe odbieranie pieniędzy z banku wywołane paniką. G8. Litera grecka. G11. jak 11G. G15. Inicjały Tow. Wiośl. H1, jak 8A. H3. Kaleta, mieszek. H10. Straż H16. Symbol jodu. I1. Karta. I4. Odpłata. I8. Nuta. I11. Znany bokser polski. I15, Skrót Kodeksu Cywilnego. K1. Kuna leśna. K7. Ptak nocny. K12. Korona papieska (7 p. l. p.), L1, Szybki bieg konia. L6. Tylna część okrętu. L13. Stragan. M1. Wykrzyknik. M5. Wykrzyknik. M14, Nadzorca w Turcji. N1, Skrót numeru. N4. Lewy dopływ Wisły. N9. Oziębia, zamraża. N15. Przyimek. O1. Palto męskie (J=I) O10. M. okręgowe w st. Vera - Cruz (wspak, o=ó). P1. Samogłoska. P2. Przeczenie, P5, Zabiera, chwyta. P9. Trzecia niewiadoma w matematyce. P12. Mała chmurka.

№ 60 (350) REBUS

Ułożył N. K. Kozłowski.

(Za rozwiązanie 7 punktów).



№ 61 (351) KRYPTOGRAM

Ułożyła Klementyna H

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Z każdego z poniższych wyrazów należy wyjąć kolejno po 3 sąsiednie litery, a powstanie znane polskie przysłowie:

1) Poprawa
2) Krzywda
3) Otwock
4) Muzykant
5) Pokolenie.

Rozwiązanie zadań

Nr. 49 (339) KRZYŻÓWKA.

Znaczenie wyrazów poziomych: Hal. Orugo, Em. Gad, Aza, BP, Dar, Kor, Mar, Atut, Lar, Perz, Łom, Pemikan, Et, Paragon, Os, Kalydon. Itz. Nord. Tal. Cwał, Ada, Nob, Aga, Za, Kef, Noc. Oś, Mener, Sad.

Znaczenie wyrazów pionowych: Matoł, Oda, Ah, Rum, Kra, MH, Gad (wspak), Pad, Kot, Elak, Pal, Ceny, Doleryt, Feb, No, Ramadan. RZ. Ara. Rigollon, Muza Kon, Bosz, Bra, Pan, Cam, Io, Men, Iwa, De, Bar, Otago. — „Śladem nam bieda przyszła, śladem za zbytkami, za niełądem"

N. 50 (340) ELIMINATKA

1) Sacbo (wspak), 2) Głupstwa, 3) Siwemu, 4) Piotrowa, 5) Szumi, 6) Setki, 7) Westa, 8) Dyg, 9) Otua (wspak) 10) Ważyć, 11) Niebu, 12) Miast, 13) Eden, „Co głupiemu po rozumie, kiedy go użyć nie umie". (Klucz: Bóstwa).

TRAFNE ROZWIĄZANIA ZADAŃ
Nr. 49 i 50 (łączna ilość 14 punktów)
NADESŁALI:

Zenon Brenek, Kazimierz Lilpop, Feliks Kowalski, Henryk Silczyński N. K. Kozłowski, Grenicheux, Antoni Bucelski, Władysław Kostro, Romuald Żak, Marja Strubel, Czesław Kozłowski, Dorota Herbstmanówna, Ola Borman, Janina Rowińska, Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański, Cecylja Lewandowska, Tadeusz Noskowski Bolesław Nowak, Zofja Górska, Tadeusz Ritter Henryk Ostrowski, Jan Kowalski, Gertruda Wolska, Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz, Józef Zbyszewski (Kraków), Ksawery Faliński, Helena Millerowa (Kraków), Jan Rudziński (Kalisz), Józef Małecki, Władysław Stock (Pińsk) Zofja Suchecka (Radom).

ROZWIĄZANIE POSZCZEGÓLNYCH ZADAŃ:

Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin) (50).

NAGRODY OTRZYMALI:

Romuald Żak (Warszawa)—książkę.
Marja Strubel (Warszawa)—książkę.



GDAŃSKIE WYBRZEŻE KĄPIELOWE

Nawet najbardziej wymagającemu kuracjuszowi nie sprawią zawodu **gdańskie kąpiele morskie i kuracyjne. Plaże** odznaczają się **szerokością i białością** piasku, **woda morska–przejrzystością. Ożywione międzynarodowe życie kąpielowe** trwa przez cały sezon.

Wspaniałe jest położenie **Sopot.** Dom Kuracyjny i Kasyno są chętnie odwiedzane, atrakcjami zaś Sopot są jeszcze: sporty, międzynarodowe rozgrywki tennisowe, wyścigi konne i opera leśna.

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60. KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P